

Kiedy korepetycje są wsparciem, a nie wymówką? | Jaka przyszłość czeka Irańczyków? | **Kaziuki nostalgicznie**

Jan Englert 9 marca spotka się z widzami w DKP | Znane wileńskie czworaczki obchodzą jubileusz

KURIER WILEŃSKI

MAGAZYN

7-13 marca 2026 r.

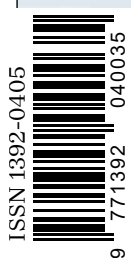
Nr 9 (26)

Wydanie magazynowe
polskiego dziennika na Litwie
Cena: 1 euro

Grzegorz Marek Poznański o strategii RP wobec Polaków na Litwie:

Dawać wędkę, a nie rybę

Chargé d'affaires Ambasady RP w Wilnie, Grzegorz Marek Poznański, w rozmowie z „Kurierem Wileńskim” zauważa, że zmienia się podejście państwa polskiego do polskiej społeczności na Litwie. Nastawienie jest na dawanie sprawczości, a nie na prostą pomoc materialną. Wyjaśnia też, dlaczego na linii Warszawa-Wilno jest więcej spraw do załatwienia niż na linii Warszawa-Tallin. Wskazuje, że Polacy na Litwie stawiają jasno nowy postulat – który jest również w interesie Litwy.



Fot. Marian Paluszkiewicz; Projekt okładki Apolinary Klonowski

KALENDARIUM

7 marca

1921 – w meldunku gen. Lucjan Żeligowski pisze, wspominając walki 1920 r.: „Zachodziło pytanie, jak się będą bronić Żmudzini. Wzdragąłem się na myśl o walce. Instynkt wieków wspólnego życia sprzeciwiał się przelewowi krwi sąsiedzkiej”. To była ówczesna nomenklatura generała, choć nie tylko (nazywał Litwinów Żmudzinami).

8 marca

1928 – na łamach „Głosu Prawdy”, polskiej gazety o charakterze raczej pravicowym (oceny były różne), opisano małżonkę Smetony, Sofii. Korespondent przekonywał, że Smetonienė słynie z najpiękniejszych nóg w kraju, bo „pochodzi ona z polskiej rodziny ziemiańskiej”. Była w tym część prawdy (była z domu Chodakowska).

9 marca

1906 – ks. Jonas Totoraitis wyrusza do Sejn, co opisuje w listach, ponieważ zaczyna się tam ukazywać gazeta „Saltinis”. Gazeta ta w pewnym sensie konkurowała z duchowieństwem wileńskim, a przynajmniej tak to opisywał Totoraitis, że „księża się gniewają, że nie będzie wydawana w Wilnie, a w Sejnach”.

10 marca

1944 – do tego dnia obejmował raport wewnętrzny Litewskiego Korpusu Lokalnego (LVR). Siły Armii Krajowej na Wileńszczyźnie dzielił na narodowo-polityczne i komunistyczne, zrównywał je. Litewscy badacze uważają, że LVR miało bardzo małą wiedzę o polskim podziemiu i jego celach. W 2004 r. doszło do pojednania AK i LRV.

11 marca

1990 – trwają obrady Najwyższej Rady Socjalistycznej Republiki Litewskiej, których apogeum będzie Akt Niepodległości. Medard Czobot mówił po litewsku: „Jestem Polakiem i bardzo dobrze wiem, jak miały miejsce wydarzenia w Polsce, gdzie ostatecznie wygrała Solidarność, to jest ruch takiego typu, jaki mamy na Litwie”.

12 marca

1990 – na ten dzień zaplanowano inaugurację III Zjazdu Deputowanych Ludowych ZSRS. Podczas zjazdu planowano wybór prezydenta ZSRS i usunięcie zapisu o przywództwie partii komunistycznej. Litwa obawiała się, że to utrudni dążenie do niepodległości, dlatego ogłoszenie Aktu Niepodległości Litwy odbywało się w pośpiechu.

13 marca

1941 – w Nowej Wilejce urodził się Grzegorz Żukowski. Jako dziecko jeszcze wyjechał w ramach tzw. repatriacji do komunistycznej Polski. Startował w popularnych w Polsce programach TV „Milionerzy” i „Jeden z dziesięciu”. Niejednokrotnie opisywał skomplikowane losy rodziny i Polaków na łamach kwartalnika „Znad Wilii”.



Robert Mickiewicz

Gramy do jednej bramki!

Polsko-litewskie relacje są jednym z najważniejszych tematów poruszanych na łamach „Kuriera Wileńskiego” od odzyskania niepodległości przez Litwę – 36. rocznicę tego wydarzenia będziemy obchodzili 11 marca. To, jak układają się stosunki naszego państwa z Polską, ma nie tylko wpływ na sytuację w naszym regionie; w niemałej mierze od tych między państwowych relacji zależy sytuacja nasza, Polaków na Litwie.

Dzięki wsparciu państwa polskiego możemy skuteczniej dążyć do realizacji należnych nam praw, pielęgnować i rozwijać swoją tożsamość narodową. Prawa Polaków na Litwie, a także Litwinów w Polsce, są zagwarantowane w Traktacie między Rzeczpospolitą Polską a Republiką Litewską o przyjaznych stosunkach i dobrosąsiedzkiej współpracy, podpisanym jeszcze w kwietniu 1994 r.

Ogromny wpływ na to, jak układają się stosunki pomiędzy Litwą a Polską, wywierają polscy i litewscy dyplomaci. Ich codzienna, najczęściej niewidzialna służba pomaga w budowaniu dobrych relacji pomiędzy naszymi państwami. W tym wydaniu magazynowym „Kuriera Wileńskiego” zamieszczamy rozmowę Rajmunda Klonowskiego z Grzegorzem Markiem Poznańskim, chargé d'affaires Ambasady RP w Wilnie. Ten polski dyplomata ma spore doświadczenie w budowaniu tych relacji. W latach 2017–2020 pełnił funkcję zastępcy ambasadora RP na Litwie, a od stycznia ub.r. kieruje polską ambasadą w naszym kraju.

Kwestie bezpieczeństwa oraz sytuacja Polaków na Litwie to były główne sprawy, o jakich rozmawialiśmy z szefem polskiej placówki dyplomatycznej na Litwie. Mimo trudności w rozwiązywaniu niektórych problemów, to – jak powiedział Grzegorz Marek Poznański – kogokolwiek by o to w Polsce zapytano: prezydenta, parlamentarzystów czy ministrów, stosunki polsko-litewskie mają rangę strategicznych. Gramy do jednej bramki!

Robert Mickiewicz

KURIER WILEŃSKI
MAGAZYN

Ukazuje się od 1953 r. Birbynių g. 4a, LT-02121 Wilno, Republika Litewska, tel. +370 526 084 44; **Redaktor**

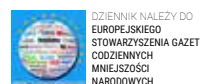
naczelny: Robert Mickiewicz. **Zastępcy redaktora naczelnego:** Brygita Łapszewicz, Apolinary Klonowski.

Sekretarz redakcji: Piotr Łukasik. **Dziennikarze:** Honorata Adamowicz, Justyna Giedrojć, Brenda Mazur, Antoni Radczenko, Rajmund Klonowski. **Stali współpracownicy:** Piotr Hlebowicz, Elżbieta Monkiewicz, Tomasz Otocky, Anna Pawilowicz-Janczys, Tomasz Snarski, Jarosław Tomczyk. **Fotoreporterzy:** Marian Paluszkiwicz. **Skład i łamanie:** Halina Taukin. **Dział Online:** Janina Jarosz, Jolanta Balkiewicz, Apolinary Klonowski. **Dział promocji:** Andrzej Podworski – prenumerata (kolport@kurierwilenski.lt) i reklama (tel. 260 84 44, reklama@kurierwilenski.lt). **Wydawca:** VšĮ „Kurier Wileński”, Birbynių g. 4A, LT-02121 Wilno. **Druk:** VšĮ „Vilnijos žodis”. Nakład: 2500 egz.



Projekt finansowany ze środków Ministerstwa Spraw Zagranicznych w ramach konkursu pn. „Polonia i Polacy za Granicą 2023”, ogłoszonego przez Kancelarię Prezesa Rady Ministrów. Publikacje wyrażają jedynie poglądy autorów i nie mogą być utożsamiane z oficjalnym stanowiskiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP ani Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” im. Jana Olszewskiego.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i adiacji tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Opinie Czytelników zawarte w ich listach nie zawsze są zbieżne z opinią redakcji.



Rajmund Klonowski: Dobra wiadomość dla rolników »4

Antoni Radczenko: Afrykańskie doświadczenie »4

Jarosław Tomczyk: Słowo na Dzień Kobiet »5

Relacje polsko-litewskie są strategiczne »6-9



Wspomagamy media polskie na Litwie, żeby były lepiej wyposażone i mogły jeszcze skuteczniej informować, jak rodzi się dezinformacja – mówi chargé d'affaires Grzegorz Marek Poznański.

Jubileusz wileńskich czworaczek »10-11



6 marca swoje 25. urodziny świętowały słynne wileńskie czworaczki: Ewelina, Augustyn, Robert i Daniel Gancewscy. O rodzinie Krystyny i Ryszarda Gancewskich pisaliśmy niejednokrotnie.

Trump znów uderzył w sojusznika Rosji »12-13

Zgodnie z oczekiwaniami doszło do ataku sił USA i Izraela na Iran. Zaskoczeniem może być tylko jego ogromna skala. Teheran odpowiedział uderzeniami, także w kraje arabskie.

Mistyczka dla zabieganych »14-15



Każdy i w każdym czasie może się nawrócić. Chrystus każdego chce doprowadzić do zbawienia. To najważniejsze przesłanie dzienników duchowych Alicji Lenczewskiej.

Kiedy korepetycje są wymówką? »16-17



Nauczyciele zauważają wyraźny wzrost zainteresowania rodziców zatrudnianiem korepetytorów. Coraz częściej rodzice decydują się na dodatkowe lekcje dla swoich dzieci z matematyki, języków obcych, a także przedmiotów przyrodniczych.

Gdy 15-latek myśli o przyszłości »20-21



Najnowszy raport OECD, dotyczący gotowości nastolatków do robienia kariery, jest pod tym względem wyjątkowo wymowny. Pokazuje długofalowe trendy i ich konsekwencje.

Kaziuki nostalgicznie »22-23

Były rzędy beczek ze śledziami, kiszoną kapustą i ogórkami. Gospodynie gotowały klopsy (cepeliny), placki, częstowały za darmo, a jeśli sprzedawały, to „tanno”. Człowiek mógł się najęść...

Serbołużycanie wobec wyzwań współczesności »24-27



Serbołużycanie są społecznością dobrze wykształconą, aktywną kulturowo i świadomą swojej tożsamości – mówi dr Małgorzata Mieczkowska z Uniwersytetu Szczecińskiego.

U boku mistrzów »28-31

Jestem dziadersem – tak dziś, dość przewrotnie, mówi o sobie Jan Englert, ikona polskiego teatru i filmu, wybitny aktor oraz wieloletni dyrektor artystyczny Teatru Narodowego w Warszawie.

Twórca arcypolski »32-34



Ogromny dorobek Andrzeja Wajdy nacechowany był rozpoznawalnym stylem, tematycznie najczęściej ukazywał zmagania jednostki z dwoma totalitaryzmami XX w.: komunizmem i nazizmem.



Dobra wiadomość dla rolników

Rajmund Klonowski

Ministerstwo Rolnictwa RL ogłosiło prace nad zmianami prawa, które umożliwiłyby przekazywanie gospodarstwa w rodzinie. Można zapytać: a to niby obecnie nie można? I można, i nie można: rodzic może przekazać dziecku własną ziemię czy traktor, ale problem pojawia się z ziemią, która jest dzierżawiona, przeważnie od państwa.

Otóż obecnie takiej umowy dzierżawy nie można przekazać (ani też odziedziczyć). Jeśli pojawia się „nowy” dzierżawca (w omawianym przez nas obecnie przypadku – dziedzic gospodarstwa), to trzeba od nowa uruchomić wszystkie procedury podpisania takiej umowy, ogłoszenia o procedurze zgodnie z państwem, uwzględnienie innych chętnych do dzierżawy itd. Oznacza to m.in. przerwanie uprawy na co najmniej jeden sezon, a zatem straty i dla gospodarza, i dla państwa (w postaci nieuzyskanych podatków). Przy czym często taki przestój generuje kłopoty na wiele lat – bo dotyczy może upraw wieloletnich, które mogą w ciągu tego czasu ulec zdżyczeniu i potem trzeba wszystko zlikwidować do gołej ziemi i zaczynać od nowa.

Taki porządek w licznych przypadkach powoduje, że kolejne pokolenia rolników znajdują sobie inne zajęcia i rezygnują z gospodarstwa, zaś w miejsce często specjalistycznych rolników indywidualnych wchodzi agrokoncerny stawiające na uprawy monokultur. A to z kolei zubaża znacząco dietę wszystkich mieszkańców i prowadzi do zaniku bioróżnorodności upraw.

Rolnictwo indywidualne na Litwie nie posiada takich zabezpieczeń jak agrokoncerny – właściciel gospodarstwa odpowiada za wiarytelności całym swoim majątkiem.

Jeśli nowy porządek pozwoli na dziedziczenie nie tylko długów, jak dotąd, lecz także praw do korzystania z dzierżawionej ziemi, a może nawet udziału w programach wsparcia czy projektach rozwojowo-badawczych, będzie to dla rolników naprawdę bardzo wymiernym wspar-

ciem ze strony państwa. Rolnictwo indywidualne nie posiada takich zabezpieczeń jak agrokoncerny – właściciel gospodarstwa odpowiada za wiarytelności całym swoim majątkiem (w odróżnieniu od koncernu, którego właściciele majątek mają oddzielony od aktywów firmy), ma gorsze możliwości pozyskiwania kredytów i finansowania inwestycji w swoje gospodarstwo (w odróżnieniu od koncernu, który może pozyskiwać finansowanie choćby na giełdzie), stawia mu się także bardziej rygorystyczne wymagania formalne.

I już dawno trzeba było wprowadzić takie racjonalizatorskie rozwiązania, o jakich zaczęło przebąkiwać Ministerstwo Rolnictwa. Trzymamy kciuki, by się udało!



Afrykańskie doświadczenie

Antoni Radczenko

Mój dziewięcioletni syn Bruno bardzo lubi historię. Jego marzeniem było odwiedzenie wyspy Kunta Kinteh (w przeszłości wyspa nazywała się również Wyspą św. Andrzeja oraz wyspą Jamesa) w ujściu rzeki Gambia. W XVII w. wyspa stała się kolonią Księstwa Kurlandii i Semigalii, leżącego na terenie teraźniejszej Łotwy.

Księstwo było lennem Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Na tej podstawie Bruno wywnioskował, że Kunta Kinteh była kolonią również Litwy. Nie jest w tym osamotniony. W polskim internecie sporo znajdziemy publikacji o afrykańskich koloniach Rzeczypospolitej. W domyśle polskich.

W tym roku jego marzenie się spełniło, ponieważ udało się nam odwiedzić ten skrawek „polsko-litewskiego”

imperium. Podróż naprawdę była fascynująca i pouczająca. Kolonią kurlandzką Kunta Kinteh w Gambii była zaledwie kilkanaście lat. W perspektywie historycznej mniej niż moment.

Podróż naprawdę była fascynująca i pouczająca. Nawet nie ze względu na afrykańskie posiadłości wspólnego państwa. Kolonią kurlandzką Kunta Kinteh była zaledwie kilkanaście lat. W perspektywie historycznej mniej niż moment. Generalnie jest kojarzona z kolonializmem brytyjskim.

Dla Gambijczyków wyspa jest również symbolem. Symbolem handlu niewolnikami. Na wyspie przetrzymywano niewolników przed dalszą drogą do Ameryki. Wyspa ma zaledwie 3500 mkw. Niewolników wprowadzano na pokład, kiedy ich było minimum 500. Do tego czasu przebywali pod gołym niebem. Można więc wyobra-

zić w jakich warunkach byli przetrzymywani, ponieważ na wyspie też był fort z białą załogą. Szacuje się, że w ciągu kilkuset lat z wybrzeża Gambii wywieziono kilkaset tysięcy Afrykańczyków. Ogółem z Afryki do 12 mln.

Na wyspę płynęliśmy podekscytowani możliwością postawieniem nogi na południowych „kresach”, wracaliśmy przygnębieni ogromem afrykańskiej tragedii. Z tej wycieczki wyciągnąłem jeden wniosek. Musimy być bardzo ostrożni w dobieraniu historycznych symboli. To, co dla nas może być wyrazem odwagi i pomysłowości naszych przodków, dla innych jest synonimem barbarzyństwa i upokorzenia. Zwłaszcza że losy naszej części Europy – podobnie jak losy kontynentu afrykańskiego – zależały nie od nas, tylko od wielkich mocarstw.

Warto o tym pamiętać i być bardziej tolerancyjnym wobec symboli naszych sąsiadów. Nie twierdzę, że wszystko można zaakceptować, ale na pewno warto spróbować zrozumieć.



Słowo na Dzień Kobiet

Jarosław Tomczyk

W czasach przedszkolnych była to sprawa wielkiej wagi. Tak wielkiej, że i dzisiaj obudzony w środku nocy bezbłędnie wyrecytuję słowa piosenki, którą każdego roku śpiewaliśmy na uroczystych akademiach: „Marzec, marzec wyjął grosik srebrny, teraz, teraz, będzie mu potrzebny. Do kwaciarni marzec pobiegł kupić kwiat na święto kobiet!”.

Tak, kwiat to była absolutna podstawa. Każdy z nas, chłopców, obowiązkowo w białej koszuli i granatowych spodniach, z aksamitną wstążką pod szyją, dzierżył w dłoni goździka lub tulipana. Z zasady czerwonego, marnej, przedwiosennej, szklarnianej proveniencji. Z takimi goździkami lub tulipanami do domów wracały nasze mamy, babcie, ciocie, ciesząc się, że w pakiecie dorzucono im w zakładzie pracy paczkę kawy albo rajtuzy, czyli towary w owych czasach po prostu luksusowe. W pakiecie miały też tego dnia jeszcze jedno. Widok męża, któremu kolor goździka lub tulipana rumienił twarz po powrocie z pracy. Ot, jeszcze jeden z paradoksów tego świata. Święto miały panie, świętowali panowie.

Z dzisiejszej perspektywy trudno uwierzyć, że zakrapiane imprezki mogły bez przeszkód odbywać się w miejscach i godzinach pracy. Tak samo jak trudno uwierzyć, że

kiedyś palono w pociągach, autobusach, samolotach, dym papierosowy wypełniał sale wszelkich możliwych narad, a nawet szkolnych klas podczas zebrań z rodzicami.

Czasy się zmieniły, ale święto kobiet przetrwało. Obchodzimy je z o wiele mniejszą pompą, robi głównie za jeszcze jeden marketingowy wabik zachęcający do zakupów, a idea jego narodzin poszła głęboko w niepamięć. Tymczasem święto,

Na Teheran spadają bomby.
Czy kiedy przestaną, Dzień Kobiet będzie można tam obchodzić bez obaw o represje, nikt nie wie.

zrodzone w początkach ubiegłego wieku, miało służyć dopominaniu się o prawa kobiet, przede wszystkim żądaniu dopuszczenia ich do wyborów powszechnych. Mogłoby się wydawać, że rzecz dawno się ziściła. Owszem, ale nie wszędzie. Niespełna 20 lat temu w Teheranie irańska policja pobiła ponad sto osób, które z okazji Dnia Kobiet chciały manifestować.

Teraz na Teheran spadają bomby. Czy kiedy przestaną, Dzień Kobiet będzie można tam obchodzić bez obaw o represje, nikt nie wie. To, że nie o Dzień Kobiet i kobiety zresztą chodzi, też nikt nie ma wątpliwości. Natomiast, że kobiety całego świata, z okazji tegorocznego święta, najbardziej życzyłyby sobie pokoju na całym świecie, nie tylko na Bliskim Wschodzie, jestem pewny. Podobnie jak mam przeświadczenie graniczące z pewnością, że gdyby to kobiety rządziły światem, bomby ani na Teheran, ani na Kijów, ani na Dubaj, by nie spadały. ■

KURIER WILEŃSKI

Prenumerata 2026

na kolejny miesiąc trwa
do 28 dnia każdego miesiąca

Wydanie codzienne (kod 0044)

Na miesiąc 10,00 €
Na 3 miesiące 28,00 €
Na 6 miesięcy 54,00 €
Na rok 105,00 €

Wydanie magazynowe (kod 0172)

Na miesiąc 4,00 €
Na 3 miesiące 11 €
Na 6 miesięcy 21,00 €
Na rok 40,00 €

Dla osób niepełnosprawnych oraz emerytów

Wydanie codzienne (kod 0227)

Na miesiąc 9,00 €
Na 3 miesiące 25,00 €
Na 6 miesięcy 49,00 €
Na rok 93,00 €

Prenumerata dla czytelników za granicą

Wydanie codzienne

Na miesiąc 20 €
Na 6 miesięcy 120 €
Na rok 240 €

Wydanie magazynowe

Na miesiąc 10 €
Na 6 miesięcy 60 €
Na rok 120 €

„Kurier Wileński” można zaprenumerować:

- w każdym urzędzie pocztowym (Lietuvos paštas);
- drogą elektroniczną:
www.prenumeruok.lt;

Zasięgnąć informacji można pod nr. tel. (8-5) 260 84 44,
Birbynių g. 4A, LT-02121 Vilnius,
kolport@kurierwilenski.lt, www.kurierwilenski.lt

Grzegorz Marek Poznański: Strategia to dawać Polakom wędkę, a nie rybę, dawać sprawczość

Rozmawiał Rajmund Klonowski

Wspólne ćwiczenia, szczyty prezydentów, zbieżne stanowiska w UE i NATO – relacje polsko-litewskie są strategiczne. Pozostaje kwestia praw Polaków na Litwie, ale postulaty wyewoluowały. Pojawił się nowy, bardzo istotny, dotyczący języka litewskiego: dostosowanie metodologii i podręczników w szkołach. „Kurier Wileński” rozmawia o tym z Grzegorzem Markiem Poznańskim, chargé d'affaires Ambasady RP w Wilnie.



Grzegorz Marek Poznański: Wspomagamy media polskie na Litwie, żeby były lepiej wyposażone i mogły jeszcze skuteczniej informować, jak rodzi się dezinformacja i na czym polega Fot. Marian Paluszkiwicz

Rajmund Klonowski: Przebywa Pan w Wilnie od ponad roku. Jak ocenia Pan stan relacji polsko-litewskich w porównaniu do okresu poprzedniego pobytu, przy ambasadork Urszuli Doroszewskiej?

Grzegorz Marek Poznański: Poprzedni pobyt był ciekawym czasem, bo gdy zaczynaliśmy z ówczesną panią ambasadorką, mieliśmy pewien kryzys – przynajmniej jeśli chodzi o kontakty na najwyższych szczeblach politycznych. Tych kontaktów po prostu nie było. Dopiero obchody stulecia odzyskania niepodległości przez Polskę i Litwę w 2018 r. doprowadziły do ich odmrożenia.

Stosunki polsko-litewskie, oprócz naturalnych czynników, jak wspólna historia czy sąsiedztwo, napędza przede wszystkim geopolityka. Rosyjska agresja na Ukrainę

i wszystko, co za sobą pociągnęła – wzrost wydatków obronnych, mobilizacja Zachodu, wsparcie dla Kijowa – ewidentnie pogłębiły nasze relacje. Nasze stanowiska w kwestiach międzynarodowych są praktycznie tożsame. Próżno szukać tu jakichkolwiek różnic.

Na forum UE, NATO i innych organizacji Polska i kraje bałtyckie bardzo często występują wspólnie. Symptomatyczna była wypowiedź Ursuli von der Leyen, że szkoda, iż zachodnia Europa nie słuchała wcześniej Polski i krajów bałtyckich, kiedy mówiły o Rosji. Zbieżność interesów i stanowisk – czy to w kwestii wysiłku obronnego, czy wsparcia dla Ukrainy – jest bezdyskusyjna. Gramy do jednej bramki.

Jeśli chodzi o współpracę Polski, Litwy i Ukrainy – kiedyś istniały wspólne bataliony, w tym polsko-litewski Lit- >>

PolBat. Później powołano Brygadę Polsko-Litewsko-Ukraińską. Czy coś z tego przetrwało?

Brygada cały czas działa. Może nie jest aż tak widoczna, ale spełnia bardzo istotną rolę – to miejsce, gdzie wspólnie ćwiczą polscy, litewscy i ukraińscy żołnierze. Dziś wiemy, że Ukraińcy muszą jeszcze intensywniej szkolić swoich ludzi. Jednocześnie jest to przestrzeń wymiany doświadczeń – bolesnych, ale kluczowych – zdobytych przez stronę ukraińską w trakcie toczącej się wojny.

Mamy i inne przedsięwzięcia polsko-litewsko-ukraińskie. Ostatnio gościliśmy w Wilnie prezydentów Karola Nawrockiego i Wołodymyra Zełenskiego przy okazji rocznicy wybuchu powstania styczniowego – wspólne obchody były okazją do rozmowy trzech prezydentów o bieżącej agendzie. Format Trójkąta Lubelskiego działa też na innych forach. Przy napiętych kalendarzach nie jest łatwo znaleźć czas, ale jest pełna wola, by doprowadzić do spotkania trzech ministrów spraw zagranicznych. Ta współpraca bywa mniej widoczna, bo przykrywają ją inne wydarzenia, ale trwa i przynosi wymierne korzyści dla wszystkich stron.

Można mówić o wielu sukcesach w budowie połączeń infrastrukturalnych i energetycznych, ale istnieją też protokoły rozbieżności, zwłaszcza w relacjach polsko-litewskich. Czy można tu mówić o jakimś postępie?

Między krajami, które dzieliły wspólne terytorium i wieki historii, a przede wszystkim są sąsiadami, zawsze będą się pojawiać jakieś problemy. Gdy byłem ambasadorem w Estonii, tamtejszy prezydent zapytał mnie, dlaczego stosunki polsko-estońskie są tak znakomite, skoro ciągle słyszy o problemach w stosunkach polsko-litewskich. Poprosiłem go, żeby spojrzął na mapę i powiedział, czego nie widzi. Nie ma granicy polsko-estońskiej – jesteśmy od siebie dość daleko i wtedy łatwiej o dobre stosunki.

Mamy te zaszczyty, mamy polską mniejszość na Litwie, mamy traktat polsko-litewski – który wskazujemy dość otwarcie jako nierealizowany

przynajmniej w tej części, na której szczególnie zależało stronie polskiej. Trzeba pamiętać, że traktat dotyczył nie tylko Polaków na Litwie, ale też Litwinów w Polsce – i tę część Polska wypełnia w stu procentach. Litwini w Polsce mają prawo pisać nazwiska w wersji oryginalnej, tablice topograficzne w miejscowościach zamieszkałych przez mniejszość litewską są po litewsku.

Szkolnictwo generalnie funkcjonuje dobrze, choć wszędzie w Europie zmagają się z problemami demograficznymi i kadrowymi. Po stronie litewskiej zwracamy natomiast uwagę na pewne sprawy – i muszę powiedzieć, że odbywa się to przy każdej okazji: spotkaniach prezydenta, premiera, w grudniu także zgromadzenia parlamentarnego. Jasno wskazujemy, że nie mówimy o wymagowanych postulatach, lecz o prawach zagwarantowanych w traktacie i wzmocnionych przez Konwencję ramową Rady Europy w sprawach mniejszości narodowych. Oczekujemy ich pełnej realizacji.

Wspomniał Pan o szkolnictwie. Problemy są jednak nie tylko demograficzne, ale i stricte polityczne – jak sprawa szkół polskich w rejonie trockim czy liczba godzin języka litewskiego. W dyskusji na te tematy przodują politycy, a głos nauczycieli i ekspertów edukacji bywa pomijany.

Rozmawiamy o tych sprawach z każdym, kto jest w jakiś sposób zaangażowany – nie tylko z Ministerstwem Oświaty, ale i z innymi ministerstwami oraz samorządami. Przede wszystkim wskazując, że zmiany muszą się odbywać po zasięgnięciu opinii środowisk szkolnych i w ścisłej koordynacji z nimi.

Wiem, że środowisko to uczestniczy w grupie roboczej do spraw szkolnictwa mniejszości narodowych przy Ministerstwie Oświaty. Ale czasem naprawdę trzeba zasięgnąć opinii dyrektorów szkół, rodziców, a także ekspertów i naukowców badających procesy edukacyjne.

Jeszcze kilka lat temu, po ujednoczeniu nauczania języka litewskiego w szkołach mniejszości, rodzice i nauczyciele od razu zwracali uwa-

gę, że w szkołach polskich nauczanie tego języka powinno się odbywać w oparciu o inną bazę metodyczną niż w szkołach litewskich – ze względu na znajomość języka litewskiego przez dzieci. Później potwierdziły to badania naukowe prowadzone na Litwie.

Dziś jest to otwarta kwestia, a urzędnicy litewscy coraz częściej przyznają, że nie istnieje żadna metodologia zakładająca, iż wystarczy rozdać polskim dzieciom w pierwszej klasie litewskie podręczniki i wszystko będzie cudownie.

Środowiska szkolne stawiają sprawę jasno: polskie dzieci na Litwie, ich rodzice i nauczyciele chcą, żeby uczniowie opanowywali język litewski jak najlepiej. Problemy są jednak w klasach początkowych, gdzie nauka wiąże się z olbrzymim stresem, a podręczniki nie odpowiadają znajomości języka przez dzieci. Nauczyciele tworzą własne kompendia, żeby zrealizować program w sposób zrozumiały dla uczniów.

Wyniki mówią same za siebie: w Wilnie ponad 90 proc. uczniów szkół polskich przystępuje do rozszerzonego egzaminu maturalnego z języka litewskiego – powyżej średniej szkół litewskich – a zdawalność wcale nie jest gorsza od tej średniej, bywa że lepsza. Wymaga to jednak olbrzymiej pracy.

Właściwy kierunek to spokojny dialog ekspertów, oparty o twarde dane ze szkół i wyniki badań. Pracujemy nad odtworzeniem polsko-litewskiej grupy eksperckiej do spraw edukacji mniejszości narodowych – jak zaproponowała minister Joanna Mucha podczas ubiegłorocznego spotkania z minister Ramintą Popovienė.

Może warto też sięgnąć do doświadczeń ukraińskich uchodźców, którzy wypracowali własne metodologie nauczania języka litewskiego.

Wiemy już naprawdę bardzo dużo. Nie mówię o ambasadzie, ale o środowisku badającym procesy edukacyjne tu, na Litwie. Przenoszenie metodologii jeden do jednego ze szkół litewskich do polskich, szczególnie w klasach początkowych, po prostu nie zdaje egzaminu. Samo zwiększenie liczby lekcji języka litewskiego bez właściwej metodologii wydaje się »

mijać z celem i tylko pogłębiać problemy na starcie.

Chcemy, żeby Polacy uczący się w polskich szkołach na Litwie mieli te same szanse dostania się na studia i realizacji swoich planów życiowych, co uczniowie ze szkół litewskich.

Pojawia się jeszcze kwestia rekrutacji na uczelnie w Polsce: maturzysta polskiej szkoły na Litwie może natrafić na wymóg posiadania certyfikatu znajomości języka polskiego, który jest dla niego domyślnie niedostępny i wymaga dodatkowej drogi.

Pracujemy nad tym i wyjaśniamy: polskie przepisy mówią jasno, że certyfikat nie musi być wymagany od uczniów z Unii Europejskiej chcących studiować w Polsce. Część uczelni się do tego stosuje, inne wymagają certyfikatu – i tu dotykamy kwestii autonomii uczelni.

Jesteśmy umówieni ze środowiskami rodziców, że jeśli zauważą takie problemy, będziemy interweniować. Ten wymóg jest sztuczny i niewymagany przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego – tym bardziej absurdalny wobec Polaków, którzy zdali rozszerzony egzamin maturalny z języka polskiego, tym samym potwierdzając jego znajomość. Uczelnie mają prawo wprowadzać własne wymogi, ale my mamy prawo zwracać im uwagę, że tego konkretnego mini-

sterstwo nie narzuca – i mamy na to potwierdzenie zarówno z MSZ RP, jak i z MNiSW RP.

Jakie miejsce w strategii państwa polskiego zajmuje polska społeczność na Litwie?

Miejsce bardzo istotne. Kiedy mówimy o Polakach na Litwie – tak samo jak o Polakach na Ukrainie czy Białorusi – mówimy o ludziach, którzy Polski nigdy nie opuścili. Obowiązek państwa polskiego jest tu konstytucyjny, a na dawnych wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej – szczególny.

Sytuacja Polaków na Białorusi jest oczywiście zupełnie inna: to państwo nieunijne, a reżim w Mińsku ma swój stosunek do Polaków. Na Litwie mówimy o państwie unijnym, co powinno ułatwiać pewne sprawy – choć od kraju będącego w tej samej wspólnotie trudniej domagać się czegoś równie głośno i zdecydowanie, bo zakładamy, że wszyscy przestrzegamy tych samych wartości.

Polacy na Litwie są żywą pozostałością po I Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Ta pamięć nakłada na polskie państwo szczególny obowiązek wspierania i pochylenia się nad problemami, gdy takie się pojawiają.

Na jakie wsparcie ze strony państwa polskiego mogą liczyć instytucje polskie na Litwie?

Długo by wymieniać – kontakty między ministerstwami, instytucje edukacyjne, jak Akademia Edukacji na Litwie z polskimi odpowiednikami, organizacje wspierające nauczanie języka polskiego, wspólna polsko-litewska grupa ds. dziedzictwa. Praktycznie w każdej dziedzinie coś się odbywa.

Strategia wsparcia Polaków za granicą ogłoszona przez MSZ RP idzie w kierunku dawania wędki, nie ryby. Chodzi przede wszystkim o wyposażenie młodych ludzi w kompetencje przydatne zarówno na rynku zawodowym, jak i w działaniu na rzecz polskości. Prosta pomoc materialna oczywiście cały czas płynie – głównie za sprawą bardzo aktywnych organizacji pozarządowych, kierujących ją do konkretnych regionów, miejscowości i szkół – ale priorytetem jest budowanie sprawczości.

Czy nie oznacza to jednak osłabienia więzi z państwem polskim?

Muszę ten argument odrzucić. Polacy wspierani przez państwo polskie w zdobywaniu kompetencji będą mieli świadomość, że zawdzięczają je m.in. swojej polskości – i temu, że instytucje rządowe i pozarządowe wspierały ich rozwój.

Nadrzędny cel jest taki, żeby pomagać Polakom kultywować polskości, a jednocześnie dobrze sobie radzić w społeczeństwach, w których mieszkają. Żeby bycie Polakiem było powodem do dumy. Litwa dostarcza tu wielu wspaniałych przykładów – w jakiegokolwiek dziedzinie się tu poruszam, spotykam Polaków zajmujących wysokie stanowiska, robiących spektakularne kariery, docenianych przez Litwinów. O to dokładnie nam chodzi.

Wspomniał Pan, że w litewskim życiu politycznym jest wielu Polaków z różnych partii zajmujących wysokie stanowiska, w tym dwóch ministrów polskiej narodowości. Czy to sprawia, że chargé d'affaires ma łatwiejszą pracę?

Na pewno w wielu konkretnych sprawach jest trochę łatwiej – choć umówmy się, ministrowie polskiej »



Grzegorz Marek Poznański z wizytą w redakcji „Kuriera Wileńskiego”
Fot. Marian Paluszkiewicz

narodowości w litewskim rządzie są ministrami rządu litewskiego, nie polskiego. Z czysto ludzkich powodów wiele spraw da się jednak rozwiązać szybciej. Nie trzeba korowodów, żeby spotkać się z ministrem – czasem wystarczy krótki telefon, żeby wyjaśnić kwestię i zapobiec nieporozumieniu.

Ogólny kierunek kształtuje koalicja rządząca, a Polacy są obecni praktycznie w każdej partii litewskiego Sejmu – choć realizują programy partii litewskich i tak też należy patrzeć na całokształt polityki. Kogokolwiek by się zapytało – prezydenta, parlamentarzystów czy ministrów – stosunki polsko-litewskie mają rangę strategicznych. Polska jest jednym z najważniejszych partnerów Litwy, a w niektórych dziedzinach wręcz najważniejszym. Tam, gdzie są problemy, dogadujemy się – jak to między sąsiadami.

Na pewno jednym z takich problemów jest dezinformacja. Rosyjska dezinformacja sięga po narracje historyczne skłócające sąsiadujące narody. Jakimi instrumentami tu dysponujemy?

To nie jest nic nowego. Narody takie jak Polska i Litwa doświadczają tego od wieków. Nie sięgając daleko – przypomnę to, co powiedział marszałek Sejmu Karczewski przy okazji 25-lecia traktatu polsko-litewskiego. Wskazał wówczas, że polityka naszych wschodnich sąsiadów polegała na tym, żeby z jednej strony przekonać Litwinów, iż Polacy o niczym innym nie myślą, tylko o tym, żeby odebrać Litwie Wilno, a z drugiej – przekonać Polaków, że Litwinom nie zależy wyłącznie na lituanizowaniu polskich dzieci. Temu właśnie miał zapobiegać traktat polsko-litewski – i to są pewne wytyczne do działań, które mamy do dziś.

Co się zmienia dzisiaj? Zmienia się technologia. Kiedyś trzeba było drukować gazety, dziś wystarczy coś wrzucić w media społecznościowe – i rozprzestrzenia się nawet skuteczniej niż w mediach tradycyjnych. Żeby nadążyć za coraz nowocześniejszymi metodami szerzenia dezinformacji, potrzebna jest szeroka współpraca międzynarodowa.



Wizyta chargé d'affaires w redakcji była też okazją do rozmów – na tematy newralgiczne, często nieoczywiste **Fot. Marian Paluszkiwicz**

Z Litwą współpracujemy w ramach Unii Europejskiej i NATO nad zrozumieniem zjawiska i wypracowywaniem metod przeciwdziałania.

Mamy coraz więcej pomysłów na nowoczesne technologie w tej walce, ale tak naprawdę najistotniejszym elementem jest dobra edukacja – w całym społeczeństwie i od najmłodszych lat. Uwrażliwiony na trendy dezinformacyjne odbiorca będzie bardziej odporny na to, co się dzieje w infosferze – niezależnie od tego, czy to media społecznościowe, tradycyjne, czy telewizja.

Polskie i litewskie organizacje społeczeństwa obywatelskiego zajmujące się identyfikowaniem i śledzeniem głównych tropów dezinformacji mają bardzo bliskie kontakty i planują wspólne projekty. Mamy też przykłady z przeszłości – mam nadzieję, że wkrótce będzie ich więcej – wspomagania mediów polskich na Litwie, żeby były lepiej wyposażone i mogły jeszcze skuteczniej informować, jak rodzi się dezinformacja i na czym polega.

Prowadzimy rozmowy z uczelniami, szkołami, jak i instytucjami w Polsce mającymi pomysły w tej dziedzinie. Mamy też bardzo dobry kontakt ze stroną litewską, która tego typu działania popiera.

Litwini byli jednymi z pierwszych w UE, którzy uruchomili szerokie szkolenia (dla dziennikarzy), ale też zaczęli wprowadzać do szkół treści o tym, jak odróżnić dezinformację od prawdy. My też często uczymy się od strony litewskiej, jak pewne rzeczy robić – to są generalnie bardzo dobre przykłady.

Na Litwie ma stacjonować NATO-wska brygada niemiecka, ale Niemcy mają problem z obsadzeniem jej kadrowo. Czy Polska byłaby gotowa wejść w ten projekt?

Nie wiem nic o takich rozmowach. Często słyszy się, że Polska powinna być wojskowo obecna na Litwie i że brygada niemiecka jest doskonałą ku temu okazją. Tymczasem Polska jest obecna – choćby w ramach Baltic Air Policing. Warto przy tym pamiętać, że Polska była krajem, który najczęściej pełnił dyżur w ramach air policing spośród wszystkich państw NATO realizujących tu patrole.

Mamy tę współpracę bardzo bliską. Polscy oficerowie są obecni na Litwie w kilku miejscach, a liczba ćwiczeń i wspólnych przedsięwzięć jest taka, że nie ma chyba dnia, żeby polskich żołnierzy na Litwie nie było.

Współpraca wojskowa polsko-litewska jest na tyle bliska, że jeśli strona litewska jasno wyrazi taką potrzebę, zostanie ona na pewno przedyskutowana w Polsce i wtedy zapadną decyzje. Na chwilę obecną nie widzę ani takiej dyskusji, ani szczególnej potrzeby.

Chcę przy tym powiedzieć, że polskie oddziały funkcjonujące na Łotwie są też aktywne w wymiarze pozawojuskowym na Litwie: odwiedzają szkoły, wspierają lokalne społeczności, pomagały choćby tutejszemu hospicjum. Polska obecność wojskowa na Litwie jest. Jeśli bywa mniej spektakularna, to ma drugorzędne znaczenie. Istotne jest jedno: żeby Polska i Litwa były bezpieczne. ■

Znane wileńskie czworaczki obchodzą jubileusz

Justyna Giedrojć

6 marca swoje 25. urodziny świętowały słynne wileńskie czworaczki: Ewelina, Augustyn, Robert i Daniel Gancewscy.



Codziennie z mężem dziękujemy Panu Bogu za dar bycia rodzicami tych wspaniałych dzieci – mówi mama czworaczków
Fot. Marian Paluszkiwicz

O rodzinie Krystyny i Ryszarda Gancewskich na łamach „Kuriera Wileńskiego” pisaliśmy niejednokrotnie. Po raz pierwszych w 2001 r., kiedy na świat przyszedł czworaczki. Narodziny takiej gromadki stały się wydarzeniem wyjątkowym i szeroko komentowanym w Wilnie.

Dziś państwo Gancewscy nie wyobrażają sobie życia bez swoich pociech. Ale gdy dowiedzieli się, że na świat przyjdzie aż czwórka dzieci, doznali lekkiego szoku. – Nie spodziewaliśmy się takiego prezentu – wspomina Krystyna Gancewska, dumna mama czworaczków.

Dzisiaj to młodzi, zdolni ludzie, którzy wytrwale dążyli do swoich celów i je osiągnęli. Odnoszą sukcesy zarówno zawodowe, jak i w życiu osobistym.

O planach i marzeniach

Przed prawie 10 laty w rozmowie z „Kurierem Wileńskim” cała czwórka dzieliła się swoimi planami na przyszłość.

Ewelina, Augustyn, Robert i Daniel, wówczas uczniowie wileńskiego Gimnazjum im. Jana Pawła II, opowiadali o swoich marzeniach i o tym, kim chcieliby zostać w przyszłości.

Czworaczki od dzieciństwa były niezwykle uzdolnione muzycznie. Rodzeństwo uczyło się w szkole muzycznej, znakomicie grało na skrzypcach i fortepianie. Z dużym powodzeniem koncertowało oraz angażowało się w różne przedsięwzięcia muzyczne.

Augustyn mówił, że myśli o zawadzie lotnika albo lekarza. Interesowały go samoloty, a w szkole mocną stroną były przedmioty ścisłe. Z kolei w szkole plastycznej chłopak pogłębiał swoją wiedzę w zakresie malarstwa, grafiki, sztuki rzeźbiarskiej. Mówił, że na skrzypcach gra dla przyjemności, a sztuka i muzyka zawsze pozostaną jego pasją.

Reszta rodzeństwa swoją przyszłość wiązała z muzyką. Daniel twierdził, że poważnie rozważa studia muzyczne. Interesował się historią i literaturą, brał udział w konkursach recytatorskich i zajmował czołowe miejsca. >>

Ewelina zawsze lubiła śpiewać. Miała na swoim koncie wiele nagród w konkursach piosenki. Marzyła o studiach wokalnych w Polsce lub na Litwie. Doskonaliła znajomość języka włoskiego, potrzebnego do wykonywania arii operowych.

Robert po doskonałym opanowaniu gry na skrzypcach w nowej szkole muzycznej zdecydował się wówczas na drugi instrument – saksofon. Należał do szkolnej orkiestry dętej, z którą brał udział w wielu międzynarodowych festiwalach i konkursach. Lubił też komponować utwory.

Cała gromadka uprawiała też sport, najbardziej lubiła piłkę nożną i koszykówkę.

Najważniejsze, że dzieci dorastały w rodzinie kochającej, pełnej ciepła i zrozumienia, wspierającej się nawzajem. – Razem z mężem staramy się towarzyszyć naszym dzieciom podczas wszystkich koncertów, konkursów i wielu innych wydarzeń. Każdy występ przeżywamy z nimi emocjonalnie, dzieląc radość i stres – mówiła wówczas Krystyna Gancewska.

Radości i dumą ze swoich dzieci wciąż towarzyszy pani Krystynie.

Moje dzieci i ich drogi

– 25 lat temu zostałam mamą – i od tej chwili moje życie zmieniło się na zawsze. Od pierwszych chwil otaczałam moje dzieci miłością, wspierałam w pasjach, pocieszałam w porażkach i cieszyłam się razem z nimi z każdej radości – mówi Krystyna Gancewska. Z satysfakcją opowiada o tym, co jej dzieci osiągnęły w pracy i w życiu.

Daniel całe swoje życie oddaje muzyce. – Godziny spędzone nad skrzypcami, niezliczone próby, nauka i występy – to wszystko widać w każdym jego geście na scenie. Jako nauczyciel skrzypiec przekazuje dzieciom nie tylko technikę, lecz także miłość do muzyki, którą nosi w sercu od najmłodszych lat. Jego oddanie i pasja sprawiają, że każdy koncert staje się przeżyciem zarówno dla niego, jak i dla publiczności – mówi pani Krystyna.

Robert studiuje ekonomię, ale nigdy nie porzucił muzyki. – To jego sposób na życie, przestrzeń, w której może wyrazić emocje i pasję. Wspólne występy z Danielem pozwalają mu rozwijać muzyczne skrzydła, a po-

droże po świecie – od Chin przez Indie po Amerykę – uczą go nowych kultur i ludzi. Dla Roberta muzyka jest czymś więcej niż hobby; jest językiem serca, który łączy go z bratem i światem – kontynuuje mama czworaczek.

Augustyn spełnił swoje marzenie z dzieciństwa – jest magistrem awiacji. – Jako pilot nieustannie łączy pasję z odpowiedzialnością; każdy lot wymaga precyzji, koncentracji i spokoju. Podróże po różnych krajach i codzienna praca w przestworzach uczą go cierpliwości, pokory i odpowiedzialności. Widząc go w tej roli, wiem, że dziecięce marzenia naprawdę mogą się spełnić – z zadowoleniem opowiada o synu pani Krystyna.

Ewelina od najmłodszych lat zachwycała talentem wokalnym. – Była laureatką wielu konkursów w Polsce i na Litwie, występowała w projektach muzycznych i solowych koncertach, zdobywając doświadczenie sceniczne i serca publiczności. Dziś wyfrunęła z rodzinnego gniazda, odkrywając własny świat i nowy etap życia, w którym skupiła się na założeniu rodziny – cieszy się z sukcesów córki pani Krystyna.

Miłość i wzajemne wsparcie

– Patrząc na nie z perspektywy lat, czuję ogromną wdzięczność. Mając dzieci o tak różnych charakterach i spojrzeniu na świat, codziennie z mężem dziękujemy Panu Bogu za dar bycia rodzicami tych wspaniałych dzieci.

Z biegiem lat coraz bardziej doceniamy, jak bardzo każda z tych wyjątkowych osobowości wzbogaca nasze życie. Cieszymy się, że to właśnie nam dane było towarzyszyć im w ich drodze, a wspólne doświadczenia, miłość i wzajemne wsparcie umocniły naszą więź. Czas, który spędziliśmy razem, uczynił nas silniejszymi, a nasze serca pełnymi radości, patrząc na to, jak pięknie się rozwijają – zauważa pani Krystyna.

Z okazji 25. urodzin swoim pociechom życzy, aby zawsze podążali własną drogą i odważnie realizowali marzenia. – Niech muzyka, podróże i pasje wciąż dodają wam skrzydeł, każdy dzień przynosi nowe radości, doświadczenia i zdrowie, które pozwoli cieszyć się każdą chwilą. Danielowi i Robertowi życzę, by wspólne granie i podróże dalej wzbogacały wasze życie; Augustynowi – aby nieustannie spełniał marzenia w przestworzach; a Ewelinie – aby codzienność dawała tyle szczęścia, ile dawała scena. Jestem z was dumna i zawsze będę przy was, wspierając każdą kolejną przygodę – życzy mama, której serce przepelnia dumą z czwórki swoich dzieci. ■

Redakcja „Kuriera Wileńskiego” życzy Ewelinie, Augustynowi, Robertowi i Danielowi, aby każdego dnia odkrywali nowe możliwości i rozwijali swoje talenty; niech odwaga i pasja prowadzą ich do niezwykłych przygód, a przyszłość obfituje w sukcesy i satysfakcję.



25 lat temu życie rodziny Gancewskich zmieniło się diametralnie

Fot. Marian Paluszkiewicz



Konflikt Izraela i USA z Iranem liczy sobie tyle lat, ile ma sama republika islamska Fot. Adobe Stock

Wojna w Zatoce. Trump znów uderzył w sojusznika Rosji

Antoni Rybczyński

Zgodnie z oczekiwaniami doszło do ataku sił USA i Izraela na Iran. Zaskoczeniem może być tylko jego ogromna skala. Teheran odpowiedział uderzeniami – także w arabskie kraje regionu. Jednak z każdym dniem słabnie jego siła ofensywna, za to wróg zdobywa coraz większą przewagę.

Zdziesiątkowanie kierownictwa islamskiej republiki, z ajatollahem Alim Chameneim na czele, nie oznacza mimo to upadku reżimu. Teheran zaryzykował, uderzając w eksport ropy i gazu z Zatoki, bo nie ma nic do stracenia. Pomocy znikąd, bo Rosja i Chiny są bezradne.

Konflikt Izraela i USA z Iranem ma tyle lat, ile republika islamska. Jednak od 1979 r. jeszcze nie było tak dużych szans na obalenie reżimu ajatollahów lub co najmniej trwałe pozbawienie go

możliwości zagrożeniu przeciwnikom w regionie i – co najważniejsze – uniemożliwienie mu zdobycia broni jądrowej.

Załamaniem gospodarcze w Iranie, najbardziej krwawe starcie reżimu ze społeczeństwem, rozbicie „osi oporu”, czyli sieci regionalnych sojuszników Teheranu – te trzy czynniki na raz musiały przekonać USA i Izrael do próby zniszczenia zagrożenia. Tak szeroko otwartego tzw. okna możliwości nie było chyba od 40 lat.

Wojna w Zatoce

Pierwsza fala uderzeń 28 lutego zdziesiątkowała kierownictwo Iranu. Zginął sam najwyższy przywódca Ali Chamenei, zginęli też m.in. dowódca Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej (IRGC) gen. Mohammad Pakpur i kluczowy doradca ds. bezpieczeństwa Ali Szamchani. Łącznie zabito kilkudziesięciu wysokich rangą urzędników ds. bezpieczeństwa oraz dowódców wojskowych i wywiadu. »

System jest jednak tak zbudowany, że szybko znaleźli się następcy. Rakiety spadły też na cele militarne i kluczowe instytucje państwa, ograniczając możliwość odwetu i komplikując proces decyzyjny w Iranie.

Odwet oczywiście i tak nastąpił. Co ważne, Irańczycy nie tylko zaatakowali Izrael i bazy USA w regionie, lecz także uderzyli w cele cywilne i gospodarcze w krajach arabskich regionu. Bahrajn, Jordania, Kuwejt, Katar i Zjednoczone Emiraty Arabskie oświadczyły, że w ciągu pierwszych 48 godzin amerykańsko-izraelskiej kampanii przeciwko Iranowi (28 lutego i 1 marca) przechwyciły łącznie 385 irańskich pocisków i 881 irańskich dronów.

Obrona powietrzna generalnie sobie z tym poradziła, a z każdym kolejnym dniem intensywność ataków irańskich malała. Kurczą się zapasy rakiet, a każde wystrzelenie pocisku naraża wyrzutnię na błyskawiczne uderzenie izraelskie lub amerykańskie. Koalicja szybko uzyskała panowanie w powietrzu nad Iranem i zdziśiątkowała wroga na morzu.

Jeśli mowa o cieśninie Ormuz, to nie jest to blokada, bo Irańczycy nie mają takich możliwości. Po prostu to jest wstrzymanie ruchu tankowców, bo firmy ubezpieczeniowe powiedziały: „na razie nie ryzykujemy”. A to jednak jest różnica.

Na razie rynki nastawiają się na krótkotrwałą wymianę ciosów, nie dłuższą niż wojna 12-dniowa z czerwca ub.r., po której prezydent Donald Trump ogłosi osiągnięcie celów operacji, a pozbawiony przywództwa Iran zajmie się swoimi wewnętrznymi problemami. Dlatego też, mimo że ruch tankowców z Zatoki Perskiej przez cieśninę Ormuz faktycznie został wstrzymany (a przez cieśninę przepływa nawet jedna piąta światowych dostaw ropy), mówienie o załamaniu światowego rynku nośników energii jest przedwczesne.

W pierwszych dniach wojny ropa podrożała do nieco ponad 80 dolarów za baryłkę. Analitycy nie wykluczają ponad 100 dolarów, ale tylko

wtedy, gdy wojna okaże się znacznie dłuższa niż zeszłoroczna kampania, a żegluga w regionie będzie poważnie utrudniona. Prawdopodobieństwo realizacji tego scenariusza niewielu ocenia na ponad 10 proc., jednak nie można go całkowicie wykluczyć.

Jaka przyszłość czeka Irańczyków?

Kluczowe pytanie brzmi: co jest celem USA? Tylko kompletne zniszczenie potencjału militarnego Iranu, zniszczenie programu atomowego czy zmiana reżimu? Najłatwiej, sądząc po pierwszych dniach wojny, osiągnąć to pierwsze. Bez możliwości ofensywnych spada też zagrożenie ewentual-

Kolejny raz okazuje się, że sojusz z Putinem to sojusz papierowy. Przekonali się o tym wcześniej Baszszar al-Asad, Nicolás Maduro, a teraz Ali Chamenei – skończył zresztą najgorzej. Dla Kremla to klęska. Cóż z tego, że ropa podrożała, skoro nie tak znów bardzo i zapewne na krótko?

nym pozyskaniem przez Teheran broni atomowej.

Najtrudniej zmienić władzę. W obecnych warunkach trudno sobie wyobrazić rewolucję obalającą ajatollahów i IRGC, także dlatego, że nie silnego ośrodka koordynującego opozycję. Można jednak zakładać, że obecna operacja wojenna ma na celu przede wszystkim otworzyć drogę do takiego rozwoju wypadków w kolejnych miesiącach. Żeby Irańczycy mogli znów masowo wyjść na ulice, konieczne jest zdziśiątkowanie sił mogących znów masakrować demonstrantów.

Stąd uderzenia powietrzne także bazy sił odpowiedzialnych za utrzymanie porządku wewnętrznego. Stąd dekapitacja kierownictwa polityczno-wojskowego republiki islamskiej. Stąd też rozmowy Donalda Trumpa z liderami Kurdów, żeby rozpoczęły działania lądowe przeciwko reżimowi z Teheranu w zachodniej części Iranu.

Osamotniony Iran

Głównym problemem dla reżimu ajatollahów jest jego międzynarodowa izolacja. Tym boleśniejsza, że własne możliwości militarne szybko się kurczą. Teheran podjął ryzykowną grę, atakując Katar, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Bahrajn, Arabię Saudyjską, a nawet Oman.

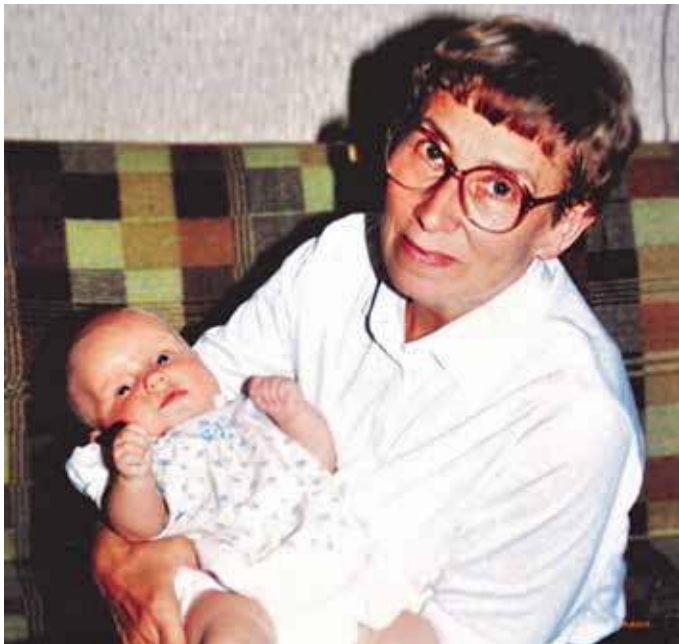
Kalkulacja polegała na tym, że to zmusi sunnickich monarchów do wywarcia presji na USA, żeby szybko kończyły wojnę. Jednak efekt może być odwrotny. W Rijadzie czy Abu Zabi przeważa dziś raczej przekonanie, że ważniejsze od szybkiego zakończenia wojny jest likwidacja zagrożenia irańskiego. Na dobre. Bo skoro teraz Teheran tak podpala w desperacji region, to nie ma gwarancji, że w przyszłości znów tego nie zrobi.

Iran zraził do siebie sąsiadów, z którymi w ostatnich latach jakoś poprawił relacje, nie zyskując nic w zamian. Co więcej, jego działania mające na celu ograniczenie eksportu ropy i gazu z Zatoki uderzają nie tylko w Europę, skłaniając ją do stanięcia jednak po stronie USA i Izraela (i atakowanych krajów Zatoki), lecz także w Chiny, sojusznika Teheranu. Pekinowi zależy na swobodnym transporcie ropy i gazu przez Ormuz. Działania irańskie w to uderzają.

Teheran nie ma co liczyć na zdecydowane wsparcie chińskie, idąc w eskalację wojny (nie ma innego wyjścia, bo gra o przeżycie). Ale nie ma też co liczyć na pomoc Rosji. Kolejny raz okazuje się, że sojusz z Putinem to sojusz papierowy. Przekonali się o tym wcześniej Baszszar al-Asad, Nicolás Maduro, a teraz Ali Chamenei – skończył zresztą najgorzej.

Dla Kremla to klęska. Cóż z tego, że ropa podrożała, skoro nie tak znów bardzo i zapewne na krótko? Budżetu to nie uratuje, a Rosja traci ważnego sojusznika. Nie ratuje go, bo jest za słaba, a poza tym nie chce narażać się Donaldowi Trumpowi.

W takim tempie na koniec kadencji prezydenta USA cała globalna oś zła może być już tylko historią. ■



Alicja Lenczewska z bratanicą Olgą, 1993 r.
Fot. archiwum prywatne

Alicja Lenczewska – mistyczka dla zabieganych

Rozmawiał Jarosław Tomczyk

Każdy i w każdym czasie może się nawrócić. Chrystus każdego chce doprowadzić do zbawienia. To najważniejsze przesłanie dzienników duchowych Alicji Lenczewskiej – mówi biografka mistyczki Ewa K. Czaczkowska, autorka książki „Alicja Lenczewska. Mistyczka naszych czasów”.

Po wojnie odeszła od Kościoła, żyła wbrew normom. Co więcej, należała do partii, pojechała z Gryfina pod Szczecinem do Warszawy na pogrzeb Bieruta. Na początku dziwiła się, że komuniści walczą z Bogiem, ale potem – chyba poprzez harcerstwo, w którym była instruktorem – weszła w to. Ale przyszedł moment powrotu do Boga. Droga do tego trwała kilka lat, wpływ na nią miała też choroba matki.

W 1984 r. Alicja przystąpiła do ruchu Odnowy w Duchu Świętym, a 8 marca 1985 r. na rekolekcjach w Gostyniu doznała niezwykłej łaski, która zmieniła w jej życiu wszystko – ukazał jej się realny Chrystus. Miała wtedy 51 lat.

Jak spotkanie z Chrystusem zmieniło życie Lenczewskiej?

Po nawróceniu najważniejsze stało się dla niej życie duchowe. Codzienne rozmowy z Jezusem. Misja, którą przekazał jej Chrystus, że ma być prorokiem na czasy ostateczne. Jezus kazał jej pisać dziennik. Po to, by ludzie zrozumieli, że z każdym chce rozmawiać, każdego chce prowadzić, każdemu chce pomóc, każdego uchronić od zła i doprowadzić do zbawienia. A ona ma być przykładem, że każdy może się nawrócić, nawet późno, i każdy może żyć w zjednoczeniu z Bogiem.

No właśnie, świadectwo Lenczewskiej, szczególnie teraz, w okresie Wielkiego Postu, to jeszcze jeden dowód, że na nawrócenie nigdy nie jest za późno.

Tak. Ona nawróciła się w 51. roku życia. Do tego czasu Alicja wiodła zupełnie zwyczajne życie. Inteligentna, wykształcona, niezwykle ciekawa świata, ceniąca kulturę, kino, teatr, operę, dużo podróżująca. Jak sama pisała, do nawrócenia podróże były sensem jej życia. Robiła zdjęcia, przezrocza, prezentowała »

Jarosław Tomczyk: W jaki sposób trafiła Pani na postać Alicji Lenczewskiej?

Ewa Czaczkowska: Dziennik duchowy Alicji Lenczewskiej ukazał się w 2016 r., wpadł mi w ręce w księgarni. Kupiłam i bardzo szybko przeczytałam pierwszy tom, „Świadectwo. Dziennik duchowy”, nie mogłam się od niego oderwać. Potem sięgnęłam po kolejny, „Słowo pouczenia”. Zainteresowała mnie ta postać, już wtedy chciałam napisać jej biografię, ale wydawcy uznali, że jest jeszcze zbyt mało znana. Jednak pisząc książkę „Mistyczki. Historia kobiet wybranych”, ujęłam wśród nich Lenczewską.

Pojechałam do Szczecina, chodziłam jej śladami. Poznałam jej brata Sławomira, który był już niestety bardzo chory i nie mówił, oraz bratową Dorotę, dużo młodszą od męża, która kultywuje pamięć o Alicji, a po śmierci męża jeździ po kraju, zapraszana na spotkania jej poświęcone.

Pierwszy portret Alicji Lenczewskiej stworzyłam w 2019 r., a teraz gdy zainteresowanie nią rośnie, ukazał się on w wersji uzupełnionej i poszerzonej o świadectwa osób, które pod wpływem dzienników doznały nawrócenia, także uzdrowienia. Zawiera również rozmowę z ks. Adamem Kaczmarczykiem, który od wielu lat zajmuje się duchowością Alicji Lenczewskiej.

Powszechnie Lenczewska wciąż jest mało znana.

Ale znajomość rośnie, widać to dobrze w internecie. Ona jest znana z uwagi na jej duchowy dziennik, który ukazał się zaledwie dziesięć lat temu. Alicja Lenczewska może być pociągająca dla współczesnych ludzi z uwagi na swoją drogę życiową. To osoba świecka, zwyczajna nauczycielka, wychowana w katolickiej rodzinie, choć dość późno – już jako dziecko kilkuletnie – ochrzczona.

je, opowiadała, ciągle za tym goniła. Nie założyła rodziny, utrzymywała kilka lat relacje z pewnym Włochem. Później przyznała się bratowej, że rodzina nie była jej powołaniem. Okazało się, że faktycznie miała inne, które Bóg późno dał jej odkryć.

Dziwne jest to, że jak na pro-rokinię głos Lenczewskiej nie był słyszalny.

Do śmierci w 2012 r. poza środowiskami swoich wspólnot religijnych, grup pielgrzymkowych, które prowadziła, rzeczywiście, nie była osobą znaną. Prowadziła życie ukryte – modlitwy, ofiary za innych, pomocy innym. I to było jej powołanie, jej zadanie. Ukazanie się dziennika pozwala tysiącom ludzi poznać ją i drogę, którą prowadził ją Chrystus.

Alicja była mistyczką, przeszła w bardzo krótkim czasie etapy życia mistycznego, od oczyszczenia przez kolejne stopnie aż po zjednoczenie duszy z Bogiem. Doznawała takich mistycznych łask, jak: ekstazy, stygmaty ukryte, modlitwa łez. W dzienniku cały czas pisze ze zdumieniem, że Chrystus wybrał właśnie ją – osobę słabą i niegodną. Pyta dlaczego i słyszy: „Bo byłaś wierna, byłaś ufna. Przyszłaś późno, ale dostaniesz całą zapłatę”. To oczywiście w nawiązaniu do ewangelicznej przypowieści o robotnikach w winnicy.

Można porównać dziennik Lenczewskiej z „Dziennikiem” s. Faustyny?

Ten drugi jest trudniejszy, pisany innym językiem, polszczyzną międzywojenną. Dla niektórych Faustyna może stanowić barierę przez fakt, że była zakonnicą. A tu mamy kobietę, która długo żyła z dala od Boga i Kościoła. Ona zadaje Chrystusowi najprostsze pytania. Takie, jakie zadaje człowiek świeżo nawrócony. O wszystko. O modlitwę, o materię, o świat, o życie po śmierci, o mszę świętą. Chrystus jej odpowiada i ją wychowuje. Dziennik jest przykładem tego, jak Chrystus wychowuje dusze. Faustyna pisze od razu o wielkich mistycznych doznaniach.

Możemy uczyć się od Alicji modlitwy – tej sformalizowanej, ale przede wszystkim modlitwy serca.

Dziennik Lenczewskiej, osoby świeckiej, jest głęboki, ale prostszy. Dzięki temu chyba szybciej trafi do każdego człowieka. Ona nie miała aż tylu naocznych widzeń co Faustyna, ale słyszała głosy, miała kontakt z Matką Bożą, ze świętymi. Łaską nadzwyczajną, której doznawała, był dotyk dłoni Jezusa.

Czego możemy się nauczyć od Lenczewskiej?

Przede wszystkim tego, że nigdy nie jest za późno na nawrócenie. Że można nawrócić się w każdym czasie i „otrzymać zapłatę całą”. Możemy uczyć się od niej całkowitego zawierzenia i zaufania Bogu, która jest sednem małej drogi dziecięctwa Bożego; przyłgnięcia do Boga. Możemy się uczyć pewnej dyscypliny życiowej, rezygnacji z wielu rzeczy, którymi się otaczamy, a nie są one w istocie potrzebne, a także takiego układania planu dnia, by nie tracić czasu na rzeczy, które nie wnoszą nic dobrego do życia naszego i innych. Możemy uczyć się od Alicji modlitwy – tej sformalizowa-

nej, ale przede wszystkim modlitwy serca. A przede wszystkim tego, jak ważne jest właściwe odczytanie swojego powołania i jego realizacji.

Jaki jest stosunek Kościoła do dzienników Lenczewskiej?

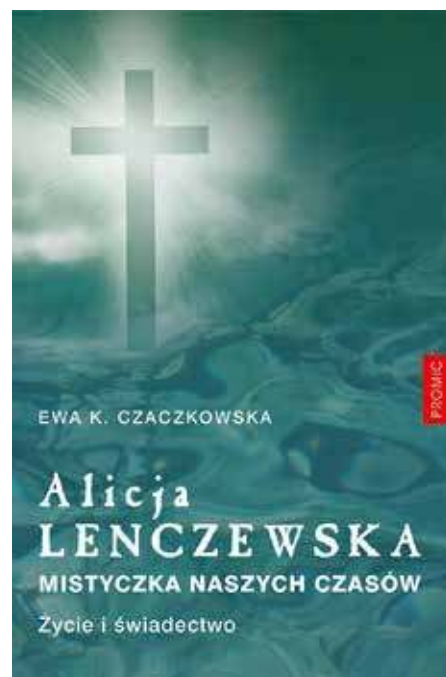
Obie publikacje, „Świadectwo” i „Słowo pouczenia”, uzyskały imprimatur wikariusza generalnego, biskupa pomocniczego archidiecezji szczecińsko-kamieńskiej Henryka Wejmiana. Jeżeli jest imprimatur, to znaczy, że była ocena teologiczna dziennika, a treści, które są w nim zawarte, nie są sprzeczne z Ewangelią. Czyli na pewno nie będzie szkody dla duszy, a może być duża wartość.

Wspomniała Pani, że rozpoznawalność Lenczewskiej rośnie.

Postać jest coraz bardziej znana. Różne środowiska czynią starania o wszczęcie procesu beatyfikacyjnego Alicji Lenczewskiej. W tym roku ma powstać o niej film, przygotowuje go reżyser Jan Sobierajski. Pierwotnie miał być filmem dokumentalnym, potem dokumentem fabularyzowanym, ostatecznie będzie filmem fabularnym. Na Facebooku są grupy, które codziennie przekazują słowa z dziennika duchowego Lenczewskiej. Ten dziennik rzeczywiście zmienia ludzi. ■

Ewa K. Czaczkowska

Doktor historii, dziennikarka, pisarka. Spod jej pióra wyszły m.in. biografie s. Faustyny i kard. Stefana Wyszyńskiego, a także napisana wspólnie z Tomaszem Wiścickim biografia ks. Jerzego Popiełuszki. Jest laureatką nagrody dziennikarskiej „Ślad” im. bp. Jana Chrapka, a także sześciu Feniksów – nagród Stowarzyszenia Wydawców Katolickich. Na rynku nakładem wydawnictwa Promic ukazała się właśnie jej najnowsza książka – „Alicja Lenczewska. Mistyczka naszych czasów”.



Kiedy korepetycje są wsparciem, a nie wymówką?

Honorata Adamowicz

Nauczyciele zauważają wyraźny wzrost zainteresowania rodziców zatrudnianiem korepetytorów z różnych przedmiotów. Coraz częściej rodzice decydują się na dodatkowe lekcje dla swoich dzieci z matematyki, języków obcych, a także przedmiotów przyrodniczych, takich jak biologia czy chemia.



Decyzja o zatrudnieniu korepetytora to często wynik inicjatywy rodziców, a nie realnej potrzeby dziecka **Fot. Adobe Stock**

Wiele rodzin szuka wsparcia indywidualnego, aby dziecko mogło nadrobić zaległości, lepiej przygotować się do egzaminów czy uczestniczyć w zajęciach wyrównawczych. Nauczyciele podkreślają jednak, że nie zawsze takie dodatkowe lekcje odpowiadają realnym potrzebom ucznia – czasem wynikają wyłącznie z ambicji rodziców lub z chęci porównywania osiągnięć dzieci z rówieśnikami.

Motywacja ucznia jest kluczowa

Nauczycielka, która udziela korepetycji z matematyki i zastrzega anonimowość, w rozmowie z „Kurierem

Wileńskim” przyznaje, że najczęściej to rodzice podejmują decyzję o dodatkowych zajęciach, a nie sam uczeń.

– Często spotykam się z sytuacjami, w których dziecko nie wykazuje realnego zainteresowania dodatkowymi lekcjami, nie rozumie, po co ma je uczęszczać, i nie jest zmotywowane do nauki – mówi nauczycielka. – W takich przypadkach bardzo trudno jest w pełni wykorzystać czas zajęć i osiągnąć realne efekty edukacyjne.

Jak podkreśla pedagog, brak inicjatywy ze strony ucznia często prowadzi do frustracji obu stron: nauczyciela, który stara się wciągnąć dziecko w naukę, i samego ucznia, który czuje presję, ale nie potrafi jej przełożyć na własne zaangażowanie. – Największym >>

wyzwaniem jest przekonanie dziecka, że nauka może być ciekawa i satysfakcjonująca, a nie tylko kolejnym obowiązkiem nałożonym przez rodziców – dodaje korepetytorka.

Zauważa też, że rodzice czasem oczekują natychmiastowych efektów, co dodatkowo utrudnia pracę. Dzieci, które przychodzą na korepetycje bez własnej motywacji, częściej doświadczają stresu, tracą pewność siebie i mogą szybciej zniechęcać się do przedmiotu. Według niej kluczem do sukcesu jest znalezienie równowagi między oczekiwaniami rodziców a realnymi potrzebami i możliwościami ucznia, a także odpowiednie dostosowanie metod nauczania do indywidualnych predyspozycji dziecka.

– Oczywiście są też uczniowie, którzy sami chcą korzystać z korepetycji. Jedni czują, że czegoś nie rozumieją i mają trudności z nadążaniem za materiałem, inni natomiast chcą iść do przodu i pogłębiać wiedzę poza programem szkolnym. Są różne dzieci, różne potrzeby i różne motywacje – podkreśla.

Zbadać potrzeby dziecka

Problemy pojawiają się jednak, gdy rodzice oczekują natychmiastowych efektów. – Niektórzy myślą, że wystarczy zapisać dziecko na korepetycje, a wyniki pojawią się od razu. Niestety, czasami takie zajęcia bardziej przeszkadzają niż pomagają – mówi doświadczona pedagog.

Nauczycielka podaje konkretne przykłady: – Bywa, że podczas lekcji tłumaczę nowy temat, a uczeń nie

Kluczem do sukcesu jest znalezienie równowagi między oczekiwaniami rodziców a realnymi potrzebami i możliwościami ucznia, a także odpowiednie dostosowanie metod nauczania do indywidualnych predyspozycji dziecka.

skupia się na zajęciach i rozprasza innych. Kiedy zwracam mu uwagę, odpowiada: „Pójdę na korepetycje i pani mi wszystko wytłumaczy”. W takich sytuacjach trudno prowadzić lekcję, a sama dodatkowa nauka nie rozwiązuje problemu; czasem wręcz pogłębia brak samodzielności i zaangażowania.

Jak zauważa nauczycielka, kluczowe są zaangażowanie ucznia i współpraca z rodzicami, aby korepetycje były rzeczywiście wsparciem, a nie wymówką. – Dziecko musi chcieć uczyć się samodzielnie i traktować dodatkowe lekcje jako uzupełnienie, a nie zastępstwo dla własnego wysiłku w szkole – podkreśla.

Ministerstwo Oświaty, Nauki i Sportu poinformowało „Kurier Wileński”, że nie dysponuje dokładnymi danymi na temat liczby uczniów korzystających z usług korepetytorów. Korepetycje w świetle prawa traktowane są jako forma działalności gospodarczej – muszą być prowadzone legalnie, a nauczyciele oferujący takie usługi są zobowiązani do odprowadzania podatków. Zgodnie z ustawą o systemie oświaty oraz ustawą o ochronie praw dziecka nauczyciel prowadzący własną działalność edukacyjną, mający licencję i kod QR, może realizować programy nauczania, oferować indywidualne zajęcia, udzielać pomocy edukacyjnej, a także prowadzić inne formy wsparcia dla uczniów. Jednocześnie nauczycielowi prowadzącemu działalność na własny rachunek nie wolno uczyć tych samych uczniów w szkole według programu tego samego przedmiotu – jest to wyraźnie określone w przepisach prawa.

Jak informują eksperci od edukacji, decyzja rodziców o zatrudnieniu korepetytorów może mieć różne przyczyny. Często jest to wynik inicjatywy rodziców, a nie realnej potrzeby dziecka. Taki wybór bywa obciążony ryzykiem – może przynieść więcej skutków negatywnych niż pozytywnych. Dzieciom stawiane są wówczas zbyt wysokie wymagania, odczuwają presję ze strony rodziców, a od najmłodszych lat przyzwyczajane są do rywalizacji. Skutkiem tego może być pogorszenie samopoczucia, stres czy obniżona kondy-

Wsparcie edukacyjne dostępne jest również w szkołach. W sytuacjach, gdy uczniom trudniej przyswajają materiał lub gdy wracają do zajęć po chorobie, szkoły organizują dodatkowe konsultacje. Nauczyciele w takich przypadkach różnicują nauczanie.

Eksperti podkreślają, że decyzje o dodatkowej nauce powinny uwzględniać przede wszystkim indywidualne potrzeby dziecka, jego tempo przyswajania wiedzy oraz ogólny rozwój.

Wsparcie ze strony szkoły

Wsparcie edukacyjne dostępne jest również w szkołach. W sytuacjach, gdy uczniom trudniej przyswajają materiał lub gdy wracają do zajęć po chorobie, szkoły organizują dodatkowe konsultacje. Nauczyciele w takich przypadkach różnicują nauczanie, dostosowując je do indywidualnych potrzeb uczniów, aby dzieci mogły nadrobić zaległości i nadążyć za rówieśnikami. Na wsparcie edukacyjne i zajęcia pomocnicze w ciągu tygodnia przeznaczane są określone godziny, których liczbę szkoła ustala samodzielnie, uwzględniając swoje możliwości oraz potrzeby uczniów.

Dodatkowe konsultacje przewidziane są także dla uczniów, którzy podczas sprawdzianów osiągnęli w klasach 4, 8 i 10 nie zadowalającego wyniku. W takich przypadkach przewidziana jest możliwość uczestnictwa w co najmniej 20 konsultacjach, a resort oświaty przekazuje samorządom środki finansowe na wynagrodzenie nauczycieli za czas poświęcony na prowadzenie tych zajęć. Dzięki temu dzieci mają szansę nadrobić zaległości, pogłębić swoją wiedzę i poprawić wyniki, a wsparcie pozostaje dostępne w ramach formalnego systemu edukacji. ■



8 marca to dzień szczególny. Swoje święto mają w tym dniu wszystkie kobiety, nie tylko na Litwie i w Polsce. Dzień Kobiet obchodzony jest na Ukrainie, w Chinach, Brazylii i we Włoszech, a także w wielu innych miejscach na Ziemi, czasem bardzo egzotycznych, jak Zambia czy Laos.

Oddawien dawna mężczyźni w tym dniu obdarowywali swoje najukochańsze kobiety prezentami z wyrazami szacunku i miłości. Każda kobieta lubi otrzymywać prezenty i z pewnością będzie im miło, kiedy 8 marca otrzymają kwiatka, czekoladki czy kartę okolicznościową.

Międzynarodowy Dzień Kobiet

8 marca to data wcale nie przypadkowa. Obchody święta kobiet w marcu, na początku wiosny, mają bardzo długą tradycję, jeszcze starożytną, natomiast data 8 marca ma rodowód o wiele bardziej współczesny i wcale nie tak radosny.

8 marca 1908 r. – tego dnia i tamtego roku w Nowym Jorku kilkanaście tysięcy kobiet chciało zmienić swój los. Pamiętajmy, że działo się to w czasach, kiedy kobieta nie była jeszcze uważana za obywatela, za kogoś równego mężczyźnie, za kogoś, kto potrafi realnie ocenić swoją sytuację, zadbać o siebie, wyuczyć się czegoś tak dobrze jak



mężczyzna. 8 marca w jednej z fabryk robotnice tyrające od rana do nocy za marny grosz postanowiły się upomnieć o poważne traktowanie. Zastrajkowały. Chciały godnych warunków pracy i prawa wyborczego. Właściciel fabryki, chcąc uniknąć skandalu, po prostu je w niej zamknął. Wybuchł pożar. Spaliło się wtedy 129 kobiet. Ta data jest ważna dla wielu kobiet, które utożsamiają się z działaniem ich prababek na rzecz równości. Wciąż przecież kobiety są traktowane w inny sposób niż mężczyźni, tylko dlatego, że są kobietami.

POCOPOTEK składa wszystkim swoim Czytelniczkom, a także ich Mamusiom, Siostrzyczkom, Babciom, Sąsiadkom i Koleżankom najserdeczniejsze życzenia!

Prezent dla najukochańszej kobiety

Będziecie potrzebować: kartkę papieru (A4 – jak do ksero czy drukarki) • małą łyżeczkę mąki • 1/3 łyżeczki soli (mniej niż pół) • farbki i pędzel • brokat lub „złoty” piasek • nożyczki • ołówek • gazetę • miseczkę • trochę wody

Wykonanie: Mąkę i sól wsypujecie do jednej miski i mieszacie. Powoli, małymi porcjami dodajecie wodę – ciągle mieszając, aż powstanie masa o konsystencji gęstej śmietany. Połowę „ciasta” przelewacie do drugiej miseczki. Do jednej miseczki dodajecie czerwoną farbkę i mieszacie, żeby uzyskać jednolity kolor. Do drugiej – zieloną farbkę.

Aby wykonać serce: Malujecie pędzlem na kartce wielkie serce Waszą czerwoną, mączno-słoną farbą. Na koniec posypujecie serce brokatem. Wokół serca zieloną, mączno-słoną farbą malujecie dowolne wzory. Podpisujecie kartkę i zostawiacie do wyschnięcia.

Aby wykonać kwiatek: Jedną z kartek składacie trzy razy (na pół, potem znowu na pół i jeszcze raz na pół). Na tym małym prostokącie szkicujecie ołówkiem serce i wycinacie je. Powstałe serduszka rozkładacie na gazecie. Cztery serduszka malujecie Waszą mączno-słoną farbą na czerwono (będą główką kwiatka), dwa inne – na zielono (będą listkami). Wycinacie jeszcze pasek papieru na łożysko i też malujecie na zielono. Czerwone serduszka obsypujecie brokatem. Gdy serduszka wyschną, przyklejacie je do kartki i pięknie kartkę podpisujecie, żeby było wiadomo, dla kogo ten prezent i od kogo.



Ciekawostki o kobietach

- Kobiety są tak interesujące, że naukowcy poświęcają naprawdę dużo czasu, aby poznać ich zwyczaje. I choć każda kobieta jest inna, to przejawiają one czasami bardzo podobne zachowania.

Oto kilka ciekawostek:

- Przeciętna kobieta wypowiada dziennie o 13 tys. słów więcej niż mężczyźni.
- Z badań chilijskich naukowców wynika, że kobiety potrafią utrzymać coś w tajemnicy średnio przez okres 47 godzin i 15 minut. Po tym czasie zazwyczaj dzielą się informacjami z przyjaciółką, partnerem, bądź matką.
- Przeciętna kobieta płacze w ciągu roku od 30 do 64 razy, podczas gdy



mężczyźni robią to tylko od 6 do 17 razy. Damski szloch trwa do 6 minut, męski do 3 minut. Za taki układ odpowiada testosteron, który hamuje występowanie łez u mężczyzn.

- Buty na wysokim obcasie początkowo nosili mężczyźni. Dzisiaj wydaje się to niedorzeczne, jednak w XVII w., kiedy pojawił się taki model butów, był elementem męskiej garderoby, podkreślającym prestiż społeczny i siłę.
- Kobiety kłamią dwukrotnie mniej niż mężczyźni. Jest to wynik większej niechęci do kłamstwa ze strony kobiet.
- Kobiety mrugają dwukrotnie szybciej niż mężczyźni i uśmiechają się nawet 62 razy dziennie, podczas gdy mężczyźni robią to zaledwie średnio 8 razy.

Tyle kobiet jest wśród nas!

Odgadnijcie, o jakie kobiety tu chodzi.

- Mama, która zajmuje się domem, to: _____
 Twoja siostra dla twojej babci to: _____
 Siostra mamy to dla ciebie: _____
 Żona wujka to dla ciebie: _____
 Mama, mamusia, mamunia, m a t _____
 Twoja siostra, ale nie rodzona, to twoja: _____
 Mama dla taty to: _____
 Mama mamy to dla ciebie: _____
 Mieszka za ścianą i możesz na nią liczyć: _____
 Żona stryja to dla ciebie: _____
 Rodzona, dobrze ją mieć: _____

Hanna Ozogowska „Dla naszej Pani”

My proszę Pani, mamy
 zmartwienie,
 bo dziś nie kwitną złote złocienie,
 bo dziś nie kwitną białe narcyzy,
 powystrajane w pachnące kryzy.
 Nawet wesoły bratek nie kwitnie
 ciemnoniebiesko i aksamitnie...
 A to doprawdy ogromna szkoda,
 że na Dzień Kobiet pusto
 w ogrodach.

Więc przynosimy Pani kochanej
 wszystkie te kwiatki narysowane.
 A z tych rysunków będzie bukiet
 od całej klasy,
 od wszystkich dzieci.





Młode kobiety widzą dziś dla siebie więcej alternatyw na rynku pracy i więcej możliwości awansu Fot. Adobe Stock

Gdy 15-latek myśli o przyszłości. Czego uczą nas dane OECD i co z tym zrobić w polskiej szkole na Litwie?

Anna Pawłowicz-Janczys

15 lat to moment, w którym młody człowiek stoi jedną nogą w dzieciństwie, a drugą coraz wyraźniej w świecie dorosłych. Choć często mówimy, że to jeszcze „za wcześnie na decyzje”, badania międzynarodowe pokazują coś innego. To właśnie w tym wieku zaczynają się utrwalać wyobrażenia o przyszłej pracy, statusie społecznym i sensie zawodowego wysiłku.

Najnowszy raport OECD, czyli Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju, dotyczący gotowości nastolatków do robienia kariery, jest pod tym względem wyjątkowo wymowny nie dlatego, że przynosi sensacyjne liczby, lecz dlatego, że pokazuje długofalowe trendy i ich konsekwencje.

Raport OECD nie jest rankingiem zawodów ani listą najlepszych wyborów. To szeroko zakrojone, wieloletnie badanie oparte na danych tysięcy 15-latków z kilkudziesięciu krajów,

które analizuje ich aspiracje zawodowe, wyobrażenia o przyszłości oraz to, jak zmieniają się one w czasie. OECD zestawia te deklaracje z realiami rynku pracy, systemami edukacji i warunkami społecznymi, dzięki czemu raport pokazuje długofalowe trendy.

Siłą tego opracowania polega właśnie na perspektywie czasu. Dane porównywane są na przestrzeni ponad dwudziestu lat, co pozwala zobaczyć nie tylko, o czym marzą dzisiejsi nastolatki, ale także jak bardzo zmie-

niło się ich myślenie w porównaniu z poprzednimi pokoleniami. To raport nie o jednostkowych ambicjach, lecz o zbiorowym obrazie przyszłości, jaki młodzi ludzie budują, obserwując dorosły świat.

Zmniejszająca się luka płci – statystyka, która myli

Jednym z najbardziej niepokojących wniosków jest wyraźny spadek zainteresowania zawodami »

związanymi z edukacją. W ciągu ostatnich dwóch dekad coraz mniej 15-latków widzi siebie w roli nauczyciela. Zmiana ta nie jest gwałtowna ani spektakularna, lecz zachodzi powoli i konsekwentnie. Co istotne, dotyczy niemal wszystkich krajów OECD, niezależnie od ich systemów szkolnych, tradycji czy poziomu zamożności.

To właśnie dlatego raport OECD jest tak ważny, także dla polskich szkół na Litwie. Pokazuje on nie tyle problem jednego kraju, ile wspólną tendencję cywilizacyjną: młodzi ludzie coraz ostrożniej patrzą na zawody, które kojarzą się z dużą odpowiedzialnością, wysokimi wymaganiami i ograniczonym wpływem na warunki pracy. Zrozumienie tych danych to pierwszy krok do odpowiedzi na pytanie, co szkoła, jako środowisko codziennych doświadczeń uczniów, może zrobić, by przyszłość edukacji nie stała się problemem, lecz świadomym wyborem kolejnych pokoleń.

Na pierwszy rzut oka dane mogą wydawać się optymistyczne. Różnica między dziewczętami a chłopcami deklarującymi chęć zostania nauczycielem zmniejszyła się. Problem polega jednak na tym, że nie jest to efekt rosnącego zainteresowania edukacją przez chłopców. To raczej sygnał odwrotny: dziewczęta, które przez dekady stanowiły fundament systemów edukacyjnych, coraz częściej rezygnują z tej ścieżki.

To ważne, bo pokazuje zmianę społeczną, a nie chwilową modę. Młode kobiety widzą dziś dla siebie więcej alternatyw, więcej możliwości awansu, lepsze warunki pracy poza szkołą. Edukacja przestaje być naturalnym wyborem, a zaczyna być jedną z wielu opcji i to niekoniecznie tą najbardziej atrakcyjną.

Litwa i Polska na tle danych OECD

Dla Litwy raport OECD jest szczególnie istotny. System edukacji jest tu mniejszy, bardziej wrażliwy na braki kadrowe i silniej odczuwa każdą zmianę demograficzną. Starzejąca się kadra nauczycielska, trudności w pozyskiwaniu młodych pedagogów oraz rosnące obciążenie obowiązkami to problemy znane niemal każdej szkole.

W szkołach z polskim językiem nauczania wyzwania te często się kumulują. Dochodzi do nich presja językowa, migracyjna oraz konkurencja z rynkiem pracy w innych krajach Unii Europejskiej. Dla wielu młodych ludzi edukacja przestaje być przestrzenią rozwoju, a zaczyna kojarzyć się z wysiłkiem niewspółmiernym do efektów.

Polska znajduje się w podobnym położeniu, choć skala systemu sprawia, że skutki są mniej natychmiastowe. Tam również obserwujemy spadek prestiżu zawodu nauczyciela, szybkie wypalenie młodych pedagogów i rosnący dystans uczniów wobec szkoły jako potencjalnego miejsca pracy. Różnica polega na tym, że w Polsce problem często bywa odsuwany w czasie, podczas gdy na Litwie jest już odczuwalny „tu i teraz”.

Raport OECD wyraźnie pokazuje, że wybory 15-latków nie są odebrane od rzeczywistości. To nie są marzenia z dziecięcych rysunków. Młodzież obserwuje dorosłych, słucha rozmów w domu, widzi zmęczonych nauczycieli, słyszy o reformach, biurokracji i napięciach. Na tej podstawie buduje własną mapę świata pracy.

Jeśli szkoła jawi się jako miejsce ciągłej presji, niskiej autonomii i braku społecznego uznania, młodzi ludzie logicznie wnioskujeją, że warto szukać innych dróg. To nie jest brak powołania. To racjonalna analiza ryzyka.

Co może zrobić szkoła, zanim zrobi to system?

Choć wiele zależy od decyzji politycznych i finansowych, raport OECD podpowiada również coś bardzo praktycznego: ogromne znaczenie ma codzienne doświadczenie ucznia w szkole. To, jak widzi nauczyciela, jaką rolę przypisuje edukacji i czy ma poczucie wpływu.

W szkołach z polskim językiem nauczania na Litwie szczególnie ważne jest budowanie narracji o edukacji jako przestrzeni sprawczości. Gdy uczniowie dostają realną odpowiedzialność, współtworzą projekty, pomagają młodszym kolegom, zaczynają dostrzegać, że nauczanie to nie

Jednym z najbardziej niepokojących wniosków jest wyraźny spadek zainteresowania zawodami związanymi z edukacją. W ciągu ostatnich dwóch dekad coraz mniej 15-latków widzi siebie w roli nauczyciela.

tylko przekazywanie wiedzy, lecz praca z ludźmi i dla ludzi. Takie doświadczenia potrafią zmienić perspektywę skuteczniejszej niż oficjalne programy doradztwa zawodowego.

OECD zwraca również uwagę na rolę rodziców. To my jako rodzice, często nieświadomie, kształtujemy hierarchię zawodów w oczach dzieci. Jeśli praca nauczyciela pojawia się w rozmowach wyłącznie w kontekście trudności, niskich zarobków i braku perspektyw, młodzi ludzie przejmują ten sposób myślenia.

Nie chodzi o idealizowanie szkoły ani o ukrywanie problemów. Chodzi o równowagę. O mówienie o sensie, wpływie i znaczeniu edukacji obok jej ograniczeń. O uznanie, że zawód nauczyciela jest jednym z fundamentów społecznego rozwoju, nawet jeśli nie zawsze bywa łatwy.

Ostrzeżenie, które warto potraktować poważnie

Raport OECD nie straszy przyszłością bez szkół. Pokazuje jednak jasno, że jeśli obecne trendy się utrzymają, system edukacji stanie przed poważnym kryzysem kadrowym. A wtedy pytanie nie będzie brzmiało, jak poprawić jakość nauczania, lecz kto w ogóle stanie przed klasą.

Dla szkół z polskim językiem nauczania na Litwie to moment szczególnie ważny. Od tego, jak dziś rozmawiamy z młodymi o pracy, odpowiedzialności i sensie edukacji, zależy, czy jutro znajdą się ci, którzy zechcą wziąć ją w swoje ręce. Raport OECD przedstawia dane. Reszta zależy od nas – nauczycieli, rodziców i dorosłych, których młodzi uważnie obserwują. ■

Kaziuki nostalgicznie

Elżbieta Monkiewicz (@elzbieta.mon na Instagramie)

Wiele lat temu, może ze dwadzieścia, a może więcej, w pewnym mieszkaniu na wileńskiej Starówce, obok Ostrej Bramy, jak to i przystało, po mszy w niedzielę zebrała się rodzina. Na herbatkę, która wileńskim zwyczajem niepostrzeżenie przemieniła się w obfity stół. I jak zawsze przy stole, rozpoczęły się rozmowy o tym, jak to było.



Na Jarmarku Kaziukowym także dziś stoły uginają się od ciastek, pierogów, ciast, obwarzanków, słodczy wszelkiego rodzaju
Fot. Marian Paluszkiwicz

Rozmowa potoczyła się ku tematowi, jak to było dawno temu w ten niezwykły dzień, gdy – jakby ktoś otworzył zaczarowaną skrzynię – na ulice i place wychodzą tłumy ludzi. Jedni sprzedają, inni kupują, jedni się cieszą, inni tylko patrzą, przechadzają się, chcą pokazać siebie i zobaczyć innych. Jakby jakiś dawno zapomniany czarodziej wyciągnął z ukrycia nie tylko tych, którzy handlu-

ją, ale i to, co stworzyły ich ręce: haftowane serwety, tkane kapy, palmy pachnące łąką i zeszłorocznym latem, korale z obwarzanków, jak małe słońca – smorgońskich, smorgońskich, bo lepszych nikt nie robił, rzeźbione figurki, dźwięki fletów, obrazy.

Pamiętasz?

Ciotki i wujowie, jeden przez drugiego zaczęli

opowiadać, jak to było dawniej – wtedy, gdy ani mnie, ani wielu z nas jeszcze nie było na świecie. – Byłem mały – mówi wujek – ale pamiętam, jak czekałem, kiedy ojciec zabierze mnie do miasta, na jarmark. To było wielkie święto. Do dziś widzę przed oczami pochód ogromnych figur: Kaziuk w szerokich spodniach, prawdziwe damy, pięknie ubrane, gospodynie, panienki. Wszystko takie

barwne. Kaziuk w kapełuszu patrzył na wszystkich z góry. Do dziś nie wiem, czy to były kukły, czy akrobaci na szczydach. Inny wujek wspomina: – Ojciec zawsze woził drewno na Kaziuka. – Co ty mówisz, nie na Kaziuka, tylko na Drewnianka. – A co to ta Drewnianka? – Na skwerku przy ulicy Zawalnej (Pylimo), tam, gdzie teraz stoi szklany pawilon, chyba restauracja, był >>

kiedyś drewniany targ. Tam piłowano i sprzedawano drewno – na opał i do gospodarstwa. Najciekawsze było to, że bardzo często pijący spali, układając się tak, by były widoczne podeszwy ich butów, a tam mieli kartkę: „Nie budzić, jeśli chcesz zapłacić mniej niż...”, i suma jakaś tam napisana. Ale może i na Kaziuka drewno wozili, bo na kaziukowym jarmarku handlowano wszystkim, co w gospodarstwie potrzebne: beczkami, cebrzykami, narzędziami, uprzężami, ozdobami dla koni. Samochodów było tyle, że na palcach jednej ręki można było policzyć, więc sprzedawano i wozy, i wszystko, co z końmi związane. A potem padło pytanie: – Pamiętasz? – Pamiętam, ale czy trzeba o tym mówić? – A czemu nie? Teraz to przecież ciekawe. – No dobrze. Chodził po jarmarku pewien pan z parawanem i wiaderkiem. Jeśli kogoś nagle przycisnęło, mógł za tym parawanem ulżyć sobie w życiu. Usługa była płatna i bardzo popularna.

Plac Łukiski tętnił życiem

Opowiadali: słyhać było konie, gwizdki, ptaki, harmoszki. Kapela grała w jednym rogu, druga w drugim, a cały plac aż

Poszukajcie i w tym roku na jarmarku serduszka z piernika – może ukoj ból serca, a może przywoła miłość.

po rzekę stawał się miejscem śmiechu, handlu, spacerów. Mieszczuchy, którzy przyszedli na jarmark, mogli zanurzyć się w nostalgicznym, wiejskim nastroju, brodzić w błocie swoimi eleganckimi buciami, a niejeden wracał do domu bosy, bo kalosze zostały w błocie Łukiszek. Były rzędy beczek ze śledziami, kiszoną kapustą i ogórkami. Gospodynie gotowały klopsy (cepeliny), placki, różne przysmaki i częstowały za darmo, a jeśli sprzedawały, to „tanno”. Człowiek mógł się najeść, próbując tu i tam. Pierniki, cukrowe kogutki, korale z obwarzanków, a obok nich wschodnie słodycze – nawet chałwa – wszystko to królowało na jarmarku. Duże, małe, średnie – ale najczęściej było serce, na których kolorowym lukrem wypisywano historie miłosne, nie gorsze niż u Szekspira. Która panna oparłaby się sercu z napisem: „Powiedz, kochana, powiedz, droga, czy do Twego serca ja zapukać moga?” albo „Weronicia, moja zycia, daj mnie igła, daj mnie nicia, to ja wezma serca swoja i przyszyja tam, gdzie Twoja”, no i jak nie doczekać finalnego: „Moje serce skik na Twoje”. Dawano je w prezencie, z imionami ukochanych, z życzeniami. Poszukajcie i w tym roku serduszka z piernika – może ukoj ból serca, a może przywoła miłość. Jak i dawno temu, tak i teraz stoły uginają się od ciastek, pierogów, ciast, obwarzanków, słodczy wszelkiego rodzaju. Idąc za głosem serca, można na drodze napotkać i piernikowe, z napisem. Głodny nikt nie będzie: cepeliny, szaszłyki, ziemniaki ze skwarkami,

Obwarzanki

Przepis na obwarzanki pochodzi z książki Wincenty Zawadzkiej „Kucharka litewska”. Czy to te prawdziwe smorgońskie?

„Trzy litry mąki rozczynić dość mocno osoloną letnią wodą, wlać 5 dag drożdży, niech tak podejdzie. Skoro się cokolwiek podejmie, mocno wyrobić i dać podejść powtórnie, po czym robić obwarzanki, rzucać do gotującej wody, wyjmować na kijek te, które na wierzch wypłyną, kłaść na deskę i piec; jak się opieką, obrócić drugą stroną na piec.

Notabene: Piec na obwarzanki powinien być z jednej strony wymieciony, a żar wygarnięty na drugą stronę”.

gorąca herbata, wschodnie rarytasy, sękacze pieczone w specjalnym piecu, najróżniejsze kiszonki i marynaty, przyprawy – wszystko, czego dusza zapagnie, nawet jeśli jeszcze nie wie, czego pragnie. Już za mojej pamięci, któregoś roku można było kupić nawet żywe ptaki. Gęsi rozmawiały o swoich troskach, a gołębie gruchały jak melodia wspomnień. A dawniej, jak mówią nieliczni, którzy to pamiętają, przywożono na jarmark nie tylko ptaki w drewnianych klatkach, ale i prosięta, cielęta. Ich życie trwało krótko – do wielkich świąt wiosennych. Bo jak wyglądałby świąteczny stół bez młodego prosięcia z chrupiącą, złotą skórką?

Aby stół był piękny

Tkaczki, hafciarki i koronczarki tworzyły cuda: białe lniane obrusy, które mogłyby opowiedzieć o wszystkim, co zdarzyło się w każdy zimowy wieczór. Mimo zmieniającej się mody i dziś na Kaziuku sprzedawane są lniane obrusy, serwetki, pościel, ubrania. Szyte, haftowane, dziergane –

by było piękniej, by nikt inny nie wymyślił czegoś podobnego. Ceramika – jakie tam były garnki i garnuszki! Zabawki dla dzieci – ciepłe, swojskie, zupełnie inne niż często bezduszne lalki z chińszczyzny i plastikowe potwory. Kosze, meble plecione, kwiaty. A przede wszystkim palmy: misterne, kwiat przy kwiecie, listek przy listku, geometryczne wzory, niezwykłe kolory, zapach lata. Symbol dobroci i tradycji, przekazywany z pokolenia na pokolenie. Na dawnym Kaziuku babki sprzedawały serdeczniki, żywokosty, trojanki, walerianki, inne zioła – wszystko za „jedynę 10 groszy”. A w wielkiej tajemnicy – lubczyk, trawę miłosną. Dziś lubczyk kupisz w każdym sklepie, ale tamten – sprzedawany zmarzniętymi palcami, z wiarą w jego moc – odszedł razem z tymi, którzy go zbierali. Teraz uświadomiłam sobie, że ani żadnej cioci, ani wujka, co byli na tym spotkaniu, już nie ma z nami, ale dzięki temu, że opowiedzieli i zapisałam, mam drogocenną pamiątkę. Taką, co niejednemu się z nas przydała. ■



Dr Małgorzata Mieczkowska: Wszystkich zainteresowanych naszymi zachodnimi, słowiańskimi sąsiadami zapraszam do odwiedzenia Łużyc **Fot. Leszek Wątróbski**

Leszek Wątróbski: Pani Doktor, porozmawiajmy o Pani nowej książce i jej bohaterach – Serbołużyczanach. Zaczniemy od książki.

Małgorzata Mieczkowska: Droga do jej napisania była dość długa i wieloetapowa. Książkę odebrałam z Wydawnictwa Naukowego Uniwersytetu Szczecińskiego w połowie stycznia tego roku, natomiast sam proces jej powstawania trwał ponad rok. W grudniu 2025 r. była już po korekcie autorskiej, ale funkcjonowała jeszcze wyłącznie w wersji cyfrowej. Dziś jest materialną publikacją, wzbogaconą dodatkowo o moje autorskie fotografie, które stanowią ważne dopełnienie narracji naukowej.

Książka pt. „Serbołużyczanie wobec wyzwań współczesności” (Szczecin 2025) składa się z trzech rozdziałów. W pierwszym dokonałam omówienia zakresu i tematu badawczego oraz zastosowanych metod badawczych. Rozdział drugi charakteryzuje Serbołużyczan jako mniejszość w Niemczech. W trzecim zaś rozdziale wskazałam na zagrożenia kulturowe i ekologiczne. Omówiłam ponadto przyjęte tam strategie i priorytety.

Wartością dodaną mojej książki jest obszerny aneks ukazujący dynamikę zmian w środowisku serbołużyckim. Pozwala on dostrzec zaangażowanie i determinację w działaniach przebudowy dotychczasowych struktur i programowych wizji podejmowanych przez Serbołużyczan podczas „pokojowej rewolucji” i zjednoczenia Niemiec, a także w kolejnych latach po transformacji politycznej.

Kiedy narodził się pomysł na tę publikację?

Książka krystalizowała się przez kilka lat i w tym czasie znacząco ewoluowała. Początkowo miała być wąską zakrojoną monografią, skoncentrowaną na jednym, kluczo-

Serbołużyczanie wobec wyzwań współczesności. Słowo o najmniejszym narodzie słowiańskim

Rozmawiał Leszek Wątróbski

Serbołużyczanie są społecznością dobrze wykształconą, aktywną kulturowo i świadomą swojej tożsamości. To historia małego narodu, który wciąż walczy o widzialność w nowoczesnej Europie – mówi dr Małgorzata Mieczkowska, adiunkt w Instytucie Nauk o Polityce i Bezpieczeństwie Uniwersytetu Szczecińskiego.

wym wydarzeniu historycznym – zjednoczeniu Niemiec. Interesowało mnie wówczas, jak w nowej rzeczywistości ustrojowej uregulowano kwestie mniejszości narodowych i etnicznych, zwłaszcza w porównaniu z doświadczeniami polskimi, gdzie proces legislacyjny dotyczący mniejszości był długi i skomplikowany.

Jaki zakres czasowy obejmuje Pani analiza?

Książka obejmuje okres 30 lat – od 1990 do 2020 r. Jest to perspektywa domknięta, pozwalająca spojrzeć całościowo na procesy transformacyjne: ekologiczne, kulturowe, religijne i społeczne. Współczesność Łużyc znacząco różni się od tej tradycyjnej – zmieniły ją media, globalizacja, nowe formy komunikacji i uczestnictwa społecznego.

Książka nie ogranicza się jednak wyłącznie do wątku zjednoczenia Niemiec.

Zgadza się. Z czasem do pierwotnej koncepcji zaczęły dochodzić kolejne komponenty. Po 1990 r. pojawiły się nowe wyzwania, takie jak: ekspansja sektora energetycznego, zagrożenia dla języka i kultury czy problemy partycypacji politycznej. Zaczęłam zadawać pytania o to, czy Serbołużyczanie – jako naród funkcjonujący w ramach niemieckiego systemu prawnego – mogą mieć własną partię polityczną, a jeśli nie, to jakie bariery im to uniemożliwiają. Ważnym punktem odniesienia stała się również niespełniona koncepcja powołania landu Łużycy, który miał zintegrować Górne i Dolne Łużycy po zjednoczeniu Niemiec. Brak takiego rozwiązania do dziś rzutuje na sytuację tej społeczności.

Jakie wnioski płyną z Pani badań?



Serbołużycanie są społecznością dobrze wykształconą, aktywną kulturowo i świadomą swojej tożsamości. Jednocześnie stoją wobec poważnych wyzwań demograficznych, politycznych i gospodarczych. Ich przyszłość zależy od skutecznej ochrony prawnej, prestiżu języka i realnego udziału w procesach decyzyjnych. To historia małego narodu, który wciąż walczy o widzialność w nowoczesnej Europie.

Możemy teraz przejść do drugiej części rozmowy – do Serbołużyczan.

Niemcy już w momencie zjednoczenia posiadały prawnie usankcjonowane mniejszości – fryzyjską, duńską, Sinti i Romów – zarówno na poziomie federalnym, jak i landowym. Sytuacja Serbołużyczan była jednak inna. Po II wojnie światowej uzyskali oni nowy status mniejszości, ale obciążony wieloma mankamentami. Byli jedyną mniejszością we wschodnich Niemczech. Kluczowe znaczenie miała tu rola „Domowiny” – organizacji, która od dekad reprezentowała interesy Serbołużyczan i nadal jest przez nich postrzegana jako główny strażnik tożsamości narodowej.

Kim są dziś Serbołużycanie?

To najmniejszy naród słowiański w Europie, zamieszkujący historyczny region Łużyc na pograniczu Niemiec, Czech i Polski. Ich dzieje sięgają VI w. Posługują się dwoma językami – górnołużyckim i dolnołużyckim – należącymi do grupy języków zachodniosłowiańskich. Mimo braku własnego państwa przez ponad 1500 lat zachowali odrębność kulturową i językową. Ich liczebność szacuje się obecnie na 45–60 tys. osób, choć dane te ulegają wahaniom. W Niemczech nie prowadzi się statystyk narodowościowych w oparciu o dane ze spisów powszechnych.

Dokonując współcześnie unifikacji kulturowej, rozgraniczamy Górnych Łużyczan (niem. Oberlausitz) i Dolnych Łużyczan (niem. Niederlausitz). To ma istotne rozróżnienie, bo Górnołużycanie to mieszkańcy Wolnego Kraju Saksonia, a Dolnołużycanie to już Brandenburgia.

Jako ciekawostkę dodam, że Serbołużyczan możemy znaleźć także w odległych zakątkach świata. Stało się tak na skutek XIX- i XX-wiecznych migracji. Przykładem niech będą dwie organizacje. Pierwsza z nich to Texas Wendish Heritage Society, mająca swoją siedzibę w Serbinie w Stanach Zjednoczonych. Druga to Wendish Heritage Society w Australii, dokumentująca XIX-wieczne migracje Serbołużyczan na ten kontynent.

Czy Serbołużycanie czują się bardziej Niemcami, czy Serbołużyczanami?

Istotny jest dla nich czynnik regionalny. Swoje regionalizmy coraz bardziej eksponują wiedząc, że jest to ważny

Warto poznać samemu Łużycę. To kierunek na każdą pogodę i każdą porę roku. Można zacząć po stronie polskiej, warto jednak zapaść się głębiej, na niemiecką stronę regionu. Dwujęzyczne tablice z nazwami miejscowości oraz obecność języka serbołużyckiego w przestrzeni publicznej budują niezwykłą atmosferę.

czynnik strategiczny. Oni podkreślają swój związek z miejscem zamieszkania poprzez autochtoniczność i historyczne prawa zasiedlenia na obszarze Łużyc.

Serbołużycanie to najmniejszy naród słowiański.

Zachował jednak autonomię kulturalną, która jest kluczowym elementem budowania ich tożsamości narodowej. Jej fundamentem jest kultura, a sercem kultury – języki łużyckie. To one dowodzą, że naród ten wciąż żyje i dynamicznie się rozwija. Kultura serbołużycka manifestuje się przez cykliczne festiwale, które stanowią scenę dla tradycyjnego folkloru. Lokalne media – od prasy i radia po media społecznościowe – przybliżają mieszkańcom kulturę serbołużycką i ułatwiają im aktywne uczestnictwo w życiu regionu. Dziedzictwo kulturowe przenika świat sztuki na wielu poziomach. Widoczne jest zarówno w tradycyjnym rękodziele, takim jak tkactwo czy ceramika, jak i w dziełach artystów nowoczesnych >>



Charakterystyczny krzyż z łużyckim napisem w jednej z wiosek na Łużycach Fot. Małgorzata Mieczkowska

– przykładowo malarzy Mai Nagelowej czy nieżyjących już Jana Buka i Bożeny Nawki-Kunysz.

Jaką rolę w ich codziennym życiu odgrywiają język i kultura?

Łużycki to język kompletny, który sprawdza się w każdej sytuacji – zarówno w domu, jak i w świecie nauki czy literatury. Stoi za nim żywa, wielowymiarowa kultura obejmująca m.in. film, muzykę i sztukę. Niemiecka administracja rządowa asygnuje fundusze na promowanie rodzimej mowy Serbołużyczan oraz ich dziedzictwa, w świadomości społecznej kultura ta zyskuje status istotnego waloru o charakterze regionalnym. Dzięki ciągłości kształcenia w językach łużyckich – od edukacji przedszkolnej po akademicką – możliwe jest podtrzymanie żywej mowy. Warto zwrócić uwagę na inicjatywę „Witaj”, która idzie o krok dalej, chroniąc tożsamość najmłodszych pokoleń przed naturalnym procesem wtapienia się w dominującą kulturę. „Witaj” promuje dążność do zainteresowania językiem autochtonów także niemieckiej większości.

Do jakich denominacji kościelnych należą Serbołużycanie?

Obie denominacje (katolicka i luterańska) wpływają na życie narodowe Serbołużyczan. Odprawia się dziś więcej łużyckich nabożeństw, czasopisma kościelne są obszerniejsze, istnieją stałe audycje religijne w łużyckim radiu, organizuje się pielgrzymki lub kolonie dziecięce do krajów słowiańskich itp. Pamiętać jednak należy, że zwłaszcza na Dolnych Łużycach mamy duży pułap ateizacji.

Gdzie znajduje się dzisiaj serce Łużyc?

Zdecydowanie w Budziszynie – politycznym i kulturalnym centrum Serbołużyczan. Znajdują się tam kluczowe instytucje, takie jak: „Domowina”, Muzeum Serbołużyckie, Instytut Serbski czy Niemiecko-Serbołużycki Teatr Ludowy (Němsko-Serbske ludowe dźiwadło), jedyny biculturalny teatr w Niemczech, który organizuje przedstawienia w dwóch językach. Budziszyn to wreszcie miasto, w którym język łużycki słychać na ulicach, a wielokulturowość jest realnym doświadczeniem, a nie tylko hasłem.

Ważnym centrum dla Dolnych Łużyc jest Chociebuż z oddziałami organizacji serbołużyckich i dolnołużycką „Domowiną”. Tak naprawdę, jeśli chcemy poznać Łużycę, to trzeba udać się do łużyckich wiosek, zwłaszcza na Górnych Łużycach. Tam zachowały się zwyczaje i łatwiej usłyszeć słowiańską mowę.

Czym dla Serbołużyczan jest „Domowina”?

„Domowina” (po polsku ojczyzna) to związek Serbołużyczan (po łużycku Zwjazk Łužiskich Serbow). Założona została w 1912 r. jako instytucja parasolowa (unia) serbołużyckich stowarzyszeń i od 1934 r. działa pod nazwą Związek Serbów Łużyckich. „Domowina” występuje w roli reprezentanta interesów narodu serbołużyckiego. Zgodnie ze swoim celem ukonstytuowała się na nowo w 1991 r. jako towarzy-



Cmentarz łużycki w Budziszynie

Fot. Małgorzata Mieczkowska

stwo oficjalnie zarejestrowane. Według nowego statutu towarzystwo angażuje się na rzecz zachowania tożsamości, rozwoju, wspierania i upowszechniania języka, kultury oraz tradycji serbołużyckiego narodu.

Jej znakiem rozpoznawczym jest logo zawierające stylizowane drzewo lipy z trzema liśćmi. Autorką tej grafiki była malarka Hanka Krawcec. Warto powiedzieć, że lipa ma szczególne znaczenie dla Słowian, pełni funkcję opiekuńczą, symbolizuje łagodność i płodność. Tak też i „Domowina” ma za zadanie bycia reprezentantem i opiekunem społeczności Serbołużyczan w dwóch krajach związkowych – Saksonii i Brandenburgii.

Warto także wspomnieć, że współcześnie coraz większe znaczenie zyskuje Serbski Sejm, mający na celu budowanie pozycji politycznej Serbołużyczan. Logo Serbskiego Sejmu nawiązuje do owoców drzewa lipy.

A co dzieje się z innymi instytucjami serbołużyckimi, np. Serbołużycką Informacją Kulturalną?

Serbołużycka Informacja Kulturalna (po łużycku Serbska kulturna informacija) jest jedną z agend popularyzujących wiedzę o historii i kulturze tego narodu. Prowadzi >>

swoje punkty w głównych ośrodkach na Łużycach – Budziszynie i Chociebużu. Jej pracownicy udzielają odpowiedzi na różne pytania dotyczące dziedzictwa kulturowego i dziejów regionu Łużyc, prowadzą różne projekty związane z tym, np. organizują edukacyjne wycieczki czy konkursy. Aranżują wystawy i spotkania klubowe w swoich pomieszczeniach, przygotowują kalendarze imprez kulturalnych odbywających się na obszarze dwujęzycznych Łużyc, pośredniczą w nawiązywaniu kontaktów z innymi instytucjami serbołużyckimi.

Ciekawa jest również Księgarnia im. Smolera (Smolerjec kniharnja), gdzie można porozmawiać nie tylko w dwóch językach serbołużyckich, lecz także po serbsku, czesku, rosyjsku czy polsku. Panuje tam swoista słowiańska interlingua. Księgarnia jest też oczywiście miejscem, w którym można nabyć różne publikacje dotyczące Łużyc, zwłaszcza te wydane przez wydawnictwo „Domowina” (Ludowe nakładnistwo Domowina).

Warto też pamiętać, że niewielka część Serbołużyczan znajduje się również w Polsce. Jak wygląda ich obecność w naszym kraju?

Tak, po II wojnie światowej w obrębie państwa polskiego znalazła się część historycznego terytorium Łużyc, niekiedy nazywanego Wschodnimi Łużycami. Jego mieszkańcy wyjechali w ramach przymusowych wysie-

Serbołużycanie to najmniejszy naród słowiański w Europie, zamieszkujący historyczny region Łużyc na pograniczu Niemiec, Czech i Polski. Ich dzieje sięgają VI w. Posługują się dwoma językami – górnołużyckim i dolnołużyckim – należącymi do grupy języków zachodniosłowiańskich.

się w dziesięciu województwach. Mobilizacja spisowa sprzyjała rozwojowi struktur organizacyjnych. Obecnie możemy zaobserwować trzy organizacje podejmujące kwestie Łużyc: Związek Łużyczan w Polsce – Łużycki Alians, Związek Łużyczan w Polsce – Macierz Łużycka, Stowarzyszenie Polsko-Serbołużyckie „Pro Lusatia”. Pojawił się postulat uznania Łużyczan za mniejszość etniczną w Polsce. Można powiedzieć, że ruch z tym związany jest in statu nascendi. Trudno przewidzieć, jaki będzie finał tych działań.

Warto poznać samemu Łużycę. To kierunek na każdą pogodę i każdą porę roku. Można zacząć po stronie polskiej, warto jednak zapuścić się głębiej, na niemiecką stronę regionu. Dwujęzyczne tablice z nazwami miejscowości oraz obecność języka serbołużyckiego w przestrzeni publicznej budują niezwykłą atmosferę. Ten słowiański język, słyszany na co dzień, sprawia, że od razu czujemy się tu swobodnie i niemal jak u siebie.

Wszystkich zainteresowanych naszymi zachodnimi, słowiańskimi sąsiadami zapraszam do odwiedzenia Łużyc. ■

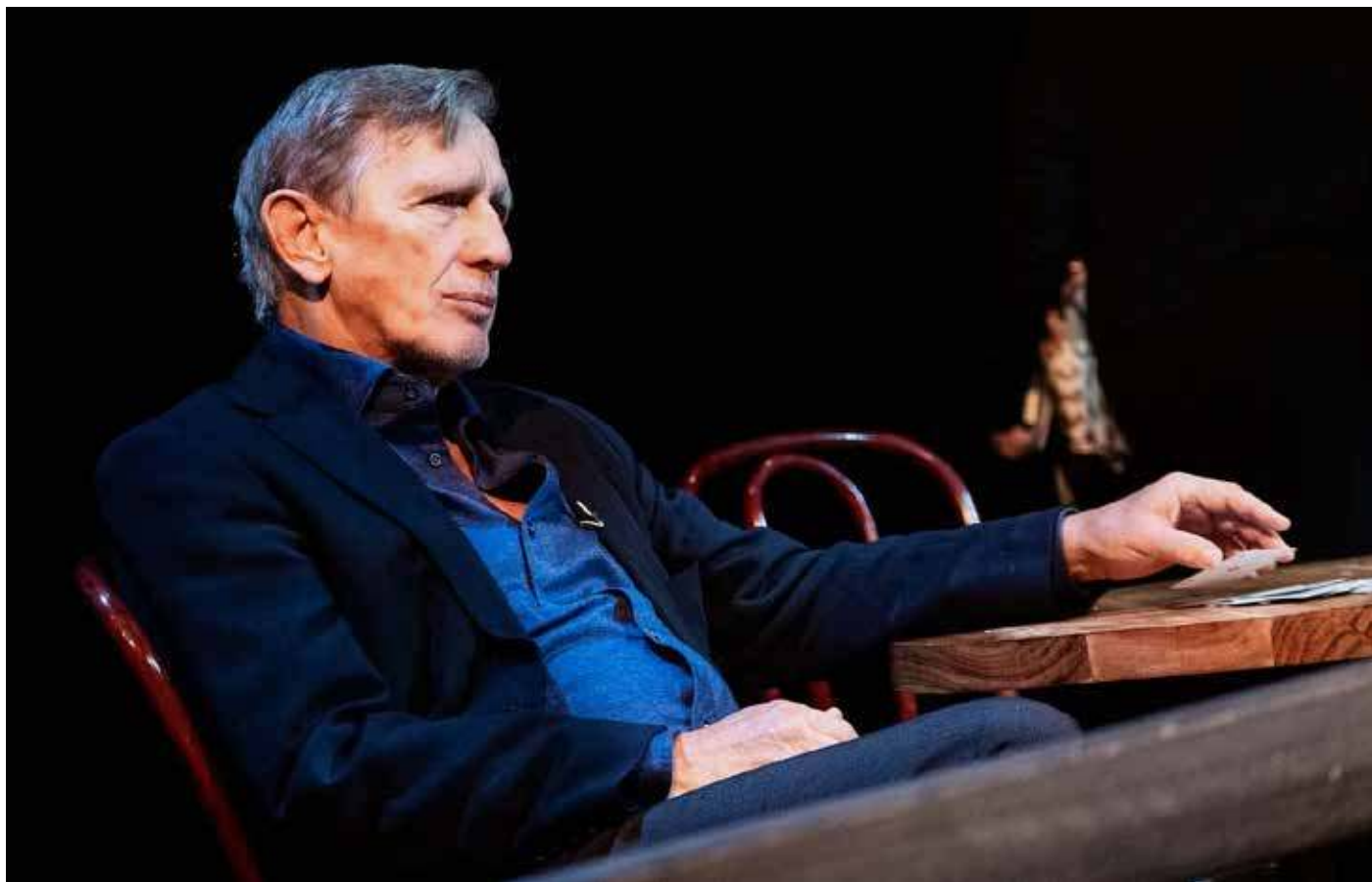


Samochód z dwujęzycznym napisem na ulicach Budziszyna Fot. Małgorzata Mieczkowska

Jan Englert: Jestem dziadersem i jestem z tego dumny

Brenda Mazur

Tak dziś – dość przewrotnie – mówi o sobie Jan Englert, ikona polskiego teatru i filmu, wybitny aktor oraz wieloletni dyrektor artystyczny Teatru Narodowego w Warszawie.



Jan Englert zachował młodzieńczą energię w sobie, czupurność młodego człowieka i nieprawdopodobną sprawność fizyczną
Fot. Marta Ankiersztejn, Archiwum Artystyczne Teatru Narodowego w Warszawie

Jego dorobek artystyczny to ponad 200 ról teatralnych i 100 filmowych. Swoistym uwiecznieniem jego 60-letniej pracy artystycznej i prezentem urodzinowym zarazem stały się dwa filmy mające premierę w 2025 r., których producentką była jego żona Beata Ścibakówna. Jeden z nich to dokument „Jan Englert. Spróbuję pofrunąć jeszcze raz” w reżyserii Macieja Dancewicza.

Drugim jest film fabularny pt. „Skrzyżowanie”, według scenariusza i w reżyserii Dominiki Montean-Pańków. Główną rolę reżyserka powierzyła Janowi Englertowi, który zgrał nestora rodu. Określenie „nestor”, w odniesieniu do Jana Englerta, abstrahując od tego, że skończył już 82 lata, zupełnie nie pasuje, tak jak i określenie „dziaders”. Aktor bowiem ma w dalszym ciągu młodzieńczą energię w sobie, czupurność młodego człowieka i nieprawdopodobną

sprawność fizyczną. Ciekawie więc będzie zobaczyć, jak się objawi w filmie „Skrzyżowanie”, który zostanie pokazany 9 marca o godz. 18.30 w Domu Kultury Polskiej w Wilnie.

O filmie „Skrzyżowanie”

Film przedstawia historię 80-letniego emerytowanego lekarza Tadeusza, który wiezie spokojne życie u boku żony Heleny. Po latach pracy w szpitalu pragnie cieszyć się starością i urokami domku z ogrodem, gdzie niedługo ma się odbyć wesele ukochanej wnuczki. Sielankowy klimat rodziny burzy jedno zdarzenie, które wywraca codzienność dojrzałego mężczyzny i uruchamia lawinę emocjonalnych komplikacji. Następstwem tego są zaskakujące decyzje. >>

Jak podkreślał aktor w licznych wywiadach, scenariusz filmu „Skrzyżowanie” był jednym z zaledwie trzech w ostatnich 20 latach jego życia, które go zainteresowały. „Wydał mi się bardzo literacki – nie nazywał rzeczy po imieniu, nie był zero-jedynkowy, natomiast stanowił próbę dotknięcia czegoś”. Przyznał, że pierwszy raz od dłuższego czasu poczuł, że ktoś napisał rolę dla niego, szczególnie że była to jego pierwsza główna rola od lat.

Zawodowa droga. Film

Choć przez znaczną część życia związał z teatrem, to uznanie i popularność przyniosły mu filmy. Zadebiutował jako 13-latek rolą łącznika „Zefirka” w filmie „Kanał” Andrzeja Wajdy.

Oczywiście o aktorskiej jakości ikonicznego filmu stanowił Tadeusz Janczar i Wierczyśław Gliński, ale trzeba przyznać, że już jako dzieciak Jan Englert poradził sobie z rolą znakomicie. I szybko okazało się, że mamy do czynienia z wielkim talentem.

Jako niespełna 26-letni aktor w 1969 r. zagrał jedną z głównych ról w filmie „Sól ziemi czarnej” w reżyserii innego wybitnego reżysera, Kazimierza Kutza. Wcielił się tam w Erwina Malinioka i występował w tej roli również w kolejnej sfilmowanej wersji śląskiej trylogii o drugim powstaniu śląskim, w „Perle w koronie”. I dodajmy, że wyzwaniem, z którym aktor sobie poradził świetnie, była gwara śląska. Film okazał się sukcesem nie tylko wśród polskich fanów kina, lecz także za granicą. W 1970 r. „Sól ziemi czarnej” stała się oficjalnym polskim kandydatem do rywalizacji o Oscara w kategorii najlepszego filmu nieanglojęzycznego.

Jednak aktorski wizerunek na długie lata ukształtowała inna rola – niezmiernie przystojnego Zygmunta, młodego żołnierza Armii Krajowej, w kultowym już dziś serialu telewizyjnym „Kolumbowie”, na podstawie powieści Romana Bratnego, filmu z 1970 r. Serial w reżyserii Janusza Morgensterna opowiada o polskim ruchu oporu przeciw hitlerowskiemu okupantom. Głównymi bohaterami są dwudziestoletni chłopcy wplątani

nagle w dramatyczną historię narodu i zmuszeni do podejmowania trudnych, wręcz tragicznych decyzji.

Wszystkie role młodych wojowników zostały zagrane wysmieniemie. Znakomite kreacje Władysława Kowalskiego, Karola Strasburgera czy Jana Englerta podbiły ówczesną widownię. W ocenie wielu krytyków najlepiej z tej obsady wypadł właśnie ostatni z wymienionych. Stanisław Dygat tak charakteryzował ten fenomen: „Byłem wtedy młodzieżą i spotykałem się z Kolumbami. Z tymi »prawdziwymi« z epopei Bratnego i z filmu Morgensterna też. Nie było wtedy Niemena ani Brigitte Bardot. Ani big-beatu, ani autostopu, ani podróży międzyplanetarnych. Nie było swobody poruszania ani swobo-

Jego role filmowe były bardzo zróżnicowane, aczkolwiek warunki zewnętrzne predysponowały Jana Englerta do ról amanta. Przypisywanie tych cech często irytowało aktora. Podobnie dbał o różnorodność wizerunków scenicznych w teatrze, który stawia w swojej pracy najwyżej: „Teatr jest ciągle miejscem, gdzie bywa się artystą”.

dy obyczajów. Była godzina policyjna, łapanki i huk salw karabinowych”. Filmem żyła cała Polska.

Jan Englert, będąc na fali popularności, kolejny raz został zatrudniony do produkcji przez Janusza Morgensterna. W 1972 r. zagrał w dramacie psychologicznym „Trzeba zabić tę miłość”, filmie o miłości dwojga maturzystów. Ona była odpowiedzialna i ambitna, on natomiast był lekkoduchem. Choć połączyło ich uczucie, wspólne życie okazało się dla nich zbyt dużym wyzwaniem. W tym filmie zagrali Jadwiga Jankowska-Cieślak i Andrzej Malec, a obok nich m.in. Władysław Kowalski, Barbara Wrzesińska i Jan Englert. Bohater naszego artykułu musiał zadowolić się drugim planem, ale wypadł jak zwykle bezbłędnie.

W serialu z roku 1976 opowiadającym o losach Polaków w czasie okupacji, „Polskich drogach”, znowu pod twórczym kierownictwem Morgensterna, Jan Englert stworzył postać barwnego inteligenta wyznającego

honorowy system wartości. Wcielił się tam w rolę Jerzego. Na planie spotkali się wysmienici aktorzy: Karol Strasburger (jako Władysław Niwiński), Kazimierz Kaczor (jako Leon Kuraś) i Beata Tyszkiewicz jako wdowa po kapitanie i kochanka Jerzego. Mimo że fabuła filmu była skupiona wokół dwóch głównych ról granych przez Strasburgera i Kaczora, to i tak filmowa postać Jerzego zapisała się w dorobku aktorskim na lata – poruszył nią najszybsze emocje widzów i rozkochał w sobie wiele widzów.

Aktor kultowy

Ogromną popularność przyniosła Janowi Englertowi rola Rajmunda Wrotka w serialu Jana Łomnickiego

„Dom”, który powstawał w latach 1988–2000, przedstawiającym losy mieszkańców stołecznej kamienicy w powojennej Polsce. Rajmund, przystojny inteligent i warszawski cwaniak, którego losy krzyżują się z mieszkańcami ulicy Żłotej. Jest operatorem i reżyserem Polskiej Kroniki Filmowej, twórcą reportażu o strajku w Gdańsku w 1970 r.,

podejrzewanym o wywiezienie taśmy na Zachód – co stanowiło istotny wątek w fabule filmu. A prywatnie – nieustającym kobieciarzem. Polacy cytowali jego kultowe teksty z filmu, typu: „Kobieta jak gorączka. Trzeba z nią iść do łóżka”. Kiedy serial był emitowany w TV, pustoszały ulice miast i wsi...

Niezapomniana jest jego rola w „Katyniu” w reżyserii Andrzeja Wajdy – pierwszego i jedyne filmu fabularnego poświęconego zbrodni katyńskiej i kłamstwu, jakie przez wiele lat otaczało Katyń w PRL-u. Englert wcielił się tam w rolę Generała – postać identyfikowaną z Mieczysławem Smorawińskim, jedną z ofiar zbrodni katyńskiej. Generał do końca wierzy w pomyslnie rozwiązanie przetrzymywanych w niewoli polskich oficerów. Dodaje im otuchy, podtrzymuje morale. „Oficer nie składa broni przed wrogiem, a jedynie przed samym sobą”. „Bez was nie będzie wolnej Polski” – mówi do dzielących los oficerów, zawodowych nauczycieli, inżynierów... ➤



Kadr ze „Skrzyżowania”. Film przedstawia historię 80-letniego emerytowanego lekarza Tadeusza, który wiezie spokojne życie u boku żony Heleny

Fot. materiały prasowe dystrybutora

rów, lekarzy. Jego kreacja w tym filmie jest przejmująca. Miała też wymiar osobisty, gdyż bezpośrednio nawiązywała do losów jego własnego ojca.

Jego role filmowe były bardzo różnicowane, aczkolwiek warunki zewnętrzne predysponowały Jana Englerta do ról amanta. Przypisywanie tych cech często irytowało aktora, mawiał: „Chciałbym przestać być traktowany jako aktor konfekcyjny, to znaczy niezdolny do głębszych przeżyć ekranowych”, co udowadniał niejednokrotnie w wielu produkcjach filmowych. W wielu filmach grywał ludzi sympatycznych, prostolinijnych, honorowych i jednoznacznych, często owładniętych ideą walki lub szlachetną pasją.

Podobnie dbał o różnorodność wizerunków scenicznych w teatrze, który stawia w swojej pracy najwyżej: „Teatr jest ciągle miejscem, gdzie bywa się artystą”.

Jan Englert w teatrze. U boku mistrzów

Po ukończeniu Wydziału Aktorskiego PWST w 1964 r. zaczął grać zarówno na stołecznych scenach, jak i wystawianym w tamtym czasie na żywo Teatrze Telewizji. Na koncie ma 30 wyreżyserowanych spektakli przeznaczonych na mały ekran, co czyni go na tym polu rekordzistą. Jak kiedyś powiedział: „W przeniesieniach spektakli teatralnych do telewizji uwa-

żam się wręcz za specjalistę. Potrafię myśleć kamerą”.

Był aktorem teatrów warszawskich: Polskiego, Współczesnego i Narodowego od 1997 r., a w 2003 r. został szefem artystycznym warszawskiej sceny narodowej.

Debiutował rolą Camilio w „Psie ogrodnika” Lope de Vegi w reżyserii Romana Niewiarowicza w Teatrze Polskim. Zagrał na tej scenie jeszcze m.in. Piotra w „Miarce za miarkę” Wiliama Szekspira w reż. Aleksandra Bardiniego, Heliogabala w „Irydionie” Zygmunta Krasińskiego w reż. Jerzego Kreczmara czy Drinkwatera w „Nawróceniu kapitana Brassbounda” według powieści George’a Bernarda Shawa.

Ogromną popularność przyniosła Janowi Englertowi rola Rajmunda Wrotka w serialu „Dom”, przedstawiającym losy mieszkańców stołecznej kamienicy w powojennej Polsce. Rajmund to przystojny inteligent i warszawski cwaniak, którego losy krzyżują się z mieszkańcami ulicy Złotej.

W roku 1969 r. Jan Englert przeszedł do Teatru Współczesnego kierowanego przez Erwina Axera. Zadebiutował tutaj rolą Mężczyzny w „Konflikcie” Jamesa Saundersa w reżyserii Jerzego Kreczmara. Zagrał też m.in. Leona Węgorzewskiego w „Matce” Stanisława Ignacego Witkiewicza w reżyserii Axera, Jermołaja Łopachina w „Wiśniowym sadzie” w reżyserii Macieja Prusa czy Gustawa w „Dziadach kowieńskich” Adama Mickiewicza w reżyserii Jerzego Kreczmara.

Wspinał się po drabinie zawodowej i z czasem sprawdził się też jako reżyser.

Reżyseria teatralna

Od końca lat 70. Englert zajmował się także reżyserią. Zafascynowany klasyką, najchętniej inscenizował dramaty polskich romantyków. Dla Teatru TV zrealizował wiele dramatycznych tekstów, np.: „Irydionna” (bardzo rzadko grywany utwór sceniczny Zygmunta Krasińskiego), „Kordiana” Słowackiego czy „Dziady” Mickiewicza, powierzając główne role swojemu uczniowi Michałowi Żebrowskiemu. Pokazane w dwóch częściach „Dziady” wywołały potężną dyskusję, wykraczającą nawet poza środowisko teatralne, o tym, jak współcześnie czytać i interpretować teksty romantycznej klasyki tak, by trafiły do młodych.

Jan Englert lubił pracę z młodymi, nie tylko na scenie teatru, także w szkole. Uczenie zawodu dawało mu ogromne zadowolenie. Od 1980 r. był wykładowcą w PWST w Warszawie, w latach 1981–1987 pełnił funkcję dziekana wydziału aktorskiego i trzykrotnie był rektorem tej uczelni (1987–1990, 1990–1993, 1996–2001). Za swoje największe osiągnięcie w tym czasie uważa odbudowanie Collegium Nobilium, teatru szkolnego w miejscu, gdzie w XVIII w. istniała scena ojców pijarów. Był inicjatorem odbywającego się tam Międzynarodowego Festiwalu Szkół Teatralnych. „Pracę pedagogiczną smakuję z całym upodobaniem” – mawiał. „Daje mi ona satysfakcję Pigmaliona. Żadna moja rola nie sprawiła mi takiej radości, jak udany debiut pod moim kierunkiem młodego człowieka, studenta”. ➤➤

Jan Englert prywatnie

Był dwukrotnie żonaty. Pierwsze małżeństwo nie przetrwało – przez ponad 30 lat był mężem aktorki Barbary Sołtysik, z którą ma troje dzieci: Tomasza oraz bliźniaczki Katarzynę i Małgorzatę. W swojej biografii „Jan Englert. Bez okłasków” (aut. Kamila Drecka) wspominał: „Byłem mocno zajęty w filmie, w teatrze, a potem jeździłem po świecie ze spektaklami. Kiedy dzieci dorastały, nie uczestniczyłem w ich problemach (...). Naprawdę nie umiem się z tego rozgrzeszyć”.

Rozgrzeszyła go jednak Barbara. I tak podsumowuje swoje małżeństwo z Janem w „Agorze”: „Wtedy byliśmy jeszcze młodzi, uważaliśmy, że warto żyć tylko 33 lata. (...) Niestety, poza teatrem mieliśmy zupełnie inne zainteresowania. I inne wartości. On chciał być zawsze ceniony, a ja – lubiana. I udało się nam. (...) Ja mam mnóstwo przyjaciół, on był świetnym rektorem szkoły teatralnej w Warszawie, a teraz doskonale zarządza Teatrem Narodowym. Nasze drogi się jednak rozeszły”.

Barbarę Sołtysik i Jana Englerta można było jednak jeszcze długo oglądać w serialu „Dom”. Małżonkowie grali tam kochanków. Ich filmowy romans skończył się wraz z powrotem

na ul. Złotą męża filmowej Bawolikowej – Kostka. Aktorzy spotykali się na planie tej produkcji aż przez 20 lat. Ostatni odcinek serialu wyemitowano w 2000 r., już po ich rozwodzie.

Jan Englert rozwiódł się z Barbarą Sołtysik po 33 latach małżeństwa i związał z Beatą Ścibakówną. Ich relacja wywołała poruszenie, ponieważ ona była jego studentką i była o 25 lat młodsza. Budziło to kontrowersje, szczególnie w artystycznej społeczności. Mimo przeciwności stworzyli udany związek i do dziś tworzą jedną z najpiękniejszych par w polskim show-biznesie.

Szczęśliwi, zgodni i wspierający się. Mają wspólną córkę Helenę, która dziś jest aktorką tak jak jej rodzice. Jest opisywana jako silna, niezależna i ambitna. I choć podkreśla, że rodzina jest dla niej „święta” i znanych rodziców się nie wyprze, to stawia na własny rozwój. Chce budować własną tożsamość artystyczną i jak mówi: „idzie po swoje”. Choć geny artystyczne są nie do przecenienia – po matce, wuju, rodzonym bracie ojca – aktorze i reżyserze Macieju Englercie, no i po wybitnym ojcu.

Jan Englert jako aktor jest wszechstronny (gra role dramatyczne, komediowe) i jest w tym nieprawdopodobnie techniczny. Jego gra charakteryzuje

Jan Englert z wiekiem stał się dojrzałym, refleksyjnym i przenikliwym obserwatorem życia, co możemy zobaczyć w ostatnim filmie z jego udziałem – „Skrzyżowanie”, który zostanie wyświetlony 9 marca (poniedziałek) w Domu Kultury Polskiej w Wilnie. Po pokazie odbędzie się spotkanie z aktorem Janem Englertem oraz reżyserką i scenarzystką Dominiką Montean-Pańków. Organizatorzy serdecznie zapraszają na to wyjątkowe spotkanie.

się ogromną precyzją, doskonałą dykcją i głębokim zrozumieniem tekstu. Jest charyzmatyczny. Jego obecność na scenie lub ekranie jest magnetyczna. Jest obdarzony charakterystycznym niskim głosem, którym uwodzi.

Bardzo ostro i krytycznie ocenia młode pokolenie aktorów w odniesieniu do udziału w reklamach oraz sposobu, w jaki podchodzą do zawodu, nie ma litości dla amatorów i chałturzenia. Krytykuje również kulturę bezwstydnego „obnażania się” w mediach społecznościowych. Sugeruje, że młodzi aktorzy często nie mają solidnego warsztatu, a „ilość wygrywa z jakością”. ■



Bilety do nabycia: kakava.lt

Spotkania z Kinem Polskim #11

SKRZYŻOWANIE

9 marca 2026, 18:30

Dom Kultury Polskiej w Wilnie (sala teatralna)

Goście:

Jan Englert | aktor
Dominika Montean-Pańków | reżyserka

Prowadzenie:

Łukasz Skórko | filmoznawca

Organizatorzy:



FUNDACJA KONTRPLAN

Partner:



Dofinansowanie:



Zdanie współfinansowane ze środków Kancelarii Senatu w ramach sprawowania opieki Senatu Rzeczypospolitej Polskiej nad Polską i Polakami za granicą w 2026 roku.



Andrzej Wajda wspierał wiele ważnych inwestycji oraz idei, aktywnie działał na rzecz środowiska filmowego

Fot. Kongres Kultury Regionów

6 marca 1926 r. w Suwałkach urodził się Andrzej Wajda – jeden z największych polskich twórców drugiej połowy XX w., reżyser teatralny i przede wszystkim filmowy, laureat wielu najważniejszych nagród polskich i międzynarodowych, przewodniczący wielu gremiów, senator, fundator Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej „Manggha” w Krakowie. Jego ogromny dorobek nacechowany był rozpoznawalnym stylem, tematycznie najczęściej ukazywał zmagania jednostki z dwoma totalitaryzmami XX w.: komunizmem i nazizmem.

Bez cienia przesady można określić Wajdę największym polskim reżyserem filmowym, bo polskość była obecna w większości jego filmów, co być może nieco osłabiło światowe uznanie – bo mniej w jego filmografii było dzieł uniwersalizujących przeżycia bohaterów, jak w przypadku Krzysztofa Kieślowskiego czy Romana Polańskiego, ale bez wątplenia jego dorobek i spuścizna są największe w historii najnowszej kultury polskiej.

Rodowód, fundamentalne fascynacje oraz doświadczenia

Jego ojcem był Jakub Wajda (ur. 1900 r.) – kapitan piechoty Wojska Polskiego, ofiara zbrodni katyńskiej (rozstrzelany w kwietniu 1940 r. w Charkowie); matką Aniela z domu Białowąs, nauczycielka (1901–1950).

W wieku 12 lat Andrzej zostaje zastępowym w 30. Radomskiej Drużynie Harcerskiej i przystępuje, bez powodzenia, do egzaminu we Lwowskiej Szkole Kadetów. W sierpniu 1939 r. Jakub Wajda zostaje zmobilizowany, pożegnanie z ojcem syn będzie wspominał do końca życia. Po wybuchu wojny Wajdowie opuszczają Radom, Andrzej zakupuje w ogrodzie szablę oficerską ojca. W 2011 r. na ścianie domu, gdzie w czasie wojny mieszkała rodzina Wajdów, zostaje wmurowana tablica poświęcona pamięci ojca, a synowi zostaje przekazana odnaleziona po latach szabela.

W 1942 r. Andrzej wstępuje do Armii Krajowej i zostaje łącznikiem. Rozwija pasję malarską, która towarzyszyć mu będzie przez dziesięciolecia; powstaje jego pierwszy obraz olejny. W 1944 r. ogląda wystawę w krakowskich Sukien-

Andrzej Wajda, twórca arcypolski

Piotr Wyszomirski

Co roku Sejm i Senat RP ogłaszają patronów roku. Zostają nimi ważne postacie z polskiej kultury i historii. Senat RP uhonorował m.in. Andrzeja Wajdę, którego setna rocznica urodzin przypadła 6 marca.

nicach, która stała się dla niego olśnieniem i wpłynęła na decyzję po kilkudziesięciu latach – to wystawa sztuki japońskiej, drzeworytów ukiyo-e ze zbiorów Feliksa „Manggha” Jasińskiego.

W pierwszych latach po wojnie intensywnie chłonie wydarzenia kulturalne, zaczyna pracę w teatrze, najpierw amatorskim (scenografia) i dostaje się, początkowo jako wolny słuchacz, do Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, na Wydział Malarstwa i Rzeźby. Jest bardzo aktywny: wstępuje do Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej, a po jego rozwiązaniu – do Związku Młodzieży Polskiej i Grupy Samokształceniowej założonej przez Andrzeja Wróblewskiego, którego sztuka i poglądy na jej rolę społeczną wywarły ogromny wpływ na twórczość i życiowe decyzje Wajdy.

Jednak film!

Po obejrzeniu obrazów z cyklu „Rozstrzelani” w pracowni Wróblewskiego postanawia rzucić malarstwo i zdawać do Szkoły Filmowej w Łodzi, do której dostał się od razu na drugi rok. Na studiach poznaje m.in.: Konrada Swinarskiego, Janusza Nasfetera, Stanisława Bareję, Kazimierza Kutza, Jana Łomnickiego, Janusza Morgensterna i Andrzeja Munka.

Terminuje przy filmach Aleksandra Forda, który proponuje mu zrobienie pełnometrażowego debiutu według opowiadania Bohdana Czeszki pt. „Pokolenie”. Po premierze w 1955 r. Antoni Bohdziewicz wprowadza pojęcie „polska szkoła filmowa”, określające fenomen w dziejach nie tylko polskiego kina, porównywalny z czeską szkołą filmową czy francuską nową falą. Czołowymi reżyserami polskiej szkoły filmowej byli: Andrzej Munk („Eroica”), Jerzy Kawalero-wicz („Matka Joanna od Aniołów”), Kazimierz Kutz („Nikt nie woła”), Wojciech Jerzy Has („Pętla”), Tadeusz Konwicki („Ostatni dzień lata”), Stanisław Różewicz („Świadection urodzenia”) i Andrzej Wajda.

Takiego skupienia talentów i wielkich filmów, jakie wystąpiło w latach 1956–1963, nie było już nigdy (jak do tej pory) w polskim filmie. Choć były to filmy estetycznie różne, jak różne były temperamenty twórców, to miały one kil- ➤

ka cech wspólnych – w tym na pewno zerwanie z estetyką socrealizmu i krytycyzm w podejściu do historii współczesnej. Większość z nich czerpała inspirację z włoskiego neorealizmu, poetyki noir i polskiego romantyzmu (niepogodzony z rzeczywistością, najczęściej zbuntowany bohater), którego najwybitniejszym przedstawicielem był Wajda, z takimi filmami jak: „Kanał” (pierwszy, wielki sukces polskiego kina po wojnie: Srebrna Palma na festiwalu w Cannes, ex aequo z „Siódmą pieczęcią” Ingmara Bergmana), „Lotna” i przede wszystkim „Popiół i diament” (1958).

„Nie umiem wytłumaczyć, jak wielki wpływ miało wasze kino – w tym Wajda (...) cała grupa tego czasu – na moją twórczość filmową. I ma do dziś, bo gdy robię film, zazwyczaj łapię się na tym, że pokazuję aktorom czy operatorom właśnie polskie filmy z lat 50.” – powiedział o Wajdzie wielki amerykański reżyser Martin Scorsese. Twórca „Taksówkarza” po obejrzeniu „Popiołu i diamentu” nosił przez jakiś czas ciemne okulary na cześć Zbigniewa Cybulskiego, odtwarzającego główną rolę Maćka Chełmickiego w ekranizacji legendarnej powieści Jerzego Andrzejewskiego.

W 1959 r. Andrzej Wajda debiutuje w teatrze repertuarowym sztuką „Kapelusz pełen deszczu” Michaela Vincenta Gazzo w Teatrze Wybrzeże w Gdańsku ze Zbigniewem Cybulskim w roli głównej. Od tego momentu będzie przeplatać swoją twórczość filmową z teatrem, z czasem dojdą też realizacje telewizyjne (np. film „Przekładaniec” według Stanisława Lema czy przeniesienie na ekran spektaklu „Noc listopadowa” według Stanisława Wyspiańskiego).

Lata 70. przyniosą przede wszystkim ekranizacje polskiej literatury, których w ogólnym podliczeniu filmografii reżysera „Popiołów” było najwięcej. Od roku 1971 do 1979 r. ekranizuje m.in. dzieła: Tadeusza Borowskiego („Krajobraz po bitwie”), Jarosława Iwaszkiewicza (bardzo liryczne „Brzezina” i „Panny z Wilka” – nominacja do Oscara), Stanisława Wyspiańskiego („Wesele”) i Władysława Reymonta („Ziemia obiecana”). Ten ostatni film przez wielu uważany jest za szczytowe osiągnięcie Andrzeja Wajdy.

W 2007 r. powstaje „Katyń” (czwarta i ostatnia nominacja do Oscara), ostatni wielki film reżysera, który był najbardziej z polskich filmowców predestynowany, by podjąć próbę przeniesienia na ekran wielkiej tragedii narodowej.

Wajda i Oscary

Filmy Andrzeja Wajdy czterokrotnie były nominowane do najbardziej prestiżowej nagrody filmowej na świecie – to rekord wśród polskich filmowców. Najbliżej wygranej były „Ziemia obiecana” w 1975 r. i „Człowiek z żelaza” (1981). W obu przypadkach o nieprzyznaniu Oscara decydowały względy pozaartystyczne. „Ziemia obiecana” nie dostała nagrody pod pretekstem rzekomego antysemityzmu, możliwość otrzymania statuetki za „Człowieka z żelaza” zablokowały polskie władze mimo wcześniejszej nominacji i sporych szans na zwycięstwo.

„Człowiek z żelaza” był najbardziej „gorącym” filmem reżysera „Kanału”, w którym wykazał się niezwykłą intuicją i profetyzmem. Zaraz po podpisaniu umowy między Komitetem Strajkowym i rządem PRL 31 sierpnia 1980 r. (tzw. porozumienia sierpniowe) Wajda zamawia u Aleksandra Ścibor-Ryńskiego scenariusz do drugiej części „Człowieka z marmuru” (1977).

Już w listopadzie tekst jest gotowy, w grudniu film zostaje zatwierdzony do produkcji, w styczniu zaczynają się zdjęcia ukończone w kwietniu.

28 maja „Człowiek z żelaza” zdobywa Złotą Palmę dla najlepszego filmu na festiwalu w Cannes – to najbardziej prestiżowa na świecie nagroda dla filmu artystycznego. Film wchodzi do kin w lipcu i do 12 grudnia ogląda go ponad 5 mln widzów. Jesienią 1981 r. zostaje zgłoszony przez Polską Komisję Oscarową do nagrody w kategorii „najlepszy film nieanglojęzyczny” i uzyskuje nominację amerykańskiej Akademii Sztuki i Wiedzy Filmowej. 13 grudnia wybucha w Polsce stan wojenny, 28 lutego 1982 r. władze PRL wycofują film z konkursu.

W jednej z końcowych scen filmu Badecki, aparatczyk partyjny z Trójmiasta (grany przez Franciszka Trzeciaka), wylawia z tłumu rozentuzjzmowanych strajkowiczów, wychodzących ze Stoczni im. Lenina po podpisaniu gdańskiej umowy sierpniowej, dziennikarza Winkla (Marian Opania), którego nakłonił do inwigilowania strajkujących stoczniowców. Wyluzowany aparatczyk z uśmiechem pociesza dziennikarza słowami: „Co pan taki zmartwiony? Przecież to porozumienie nie jest ważne. (...) Ot, kawałek papieru”. »



Andrzej Wajda wydawał się najbardziej z polskich filmowców predestynowany, by podejmować próby przeniesienia na ekran wielkich polskich tematów
Fot. Centrum Kultury Filmowej im. Andrzeja Wajdy

Andrzej Wajda wykazał się podwójnie niezwykle intuicją. Ekspresowe tempo powstawania wieloobscadowego, wielkiego filmu wynikało z jednej strony z chęci uchwycenia „na gorąco” emocji niezwykłego czasu, z drugiej zaś – z braku zaufania do realizacji zobowiązań władz komunistycznych zapisanych w umowach. Wajda przeczuwał, że karnawał „Solidarności”, jak nazywa się okres od sierpnia 1980 r. (porozumienia) do grudnia 1981 r. (stan wojenny), może nie trwać długo, dlatego trzeba reagować błyskawicznie i dać świadectwo wyjątkowego momentu. To przecucie klęski patriotycznego zryw, na szczęście tylko w perspektywie krótkoterminowej, jest przykładem wyjątkowej znajomości rzeczy, czyli funkcjonowania reżimu PRL.

Andrzej Wajda ostatecznie doczekał się Oscara. 26 marca 2000 r., podczas 72. gali rozdania Oscarów w Shrine Auditorium w Los Angeles, otrzymał honorowego Oscara za całokształt twórczości z rekomendacji m.in. Stevena Spielberga, Francisa Forda Coppola i Meryl Streep. Statuetkę wręczyła mu Jane Fonda. Laureat swoje przemówienie wygłosił w języku polskim, dedykując statuetkę polskiemu kinu.

„Będę mówił po polsku, bo chcę powiedzieć to, co myślę, a myślę zawsze po polsku” – powiedział reżyser „Ziemi obiecanej”. W kwietniu 2000 r. przekazał statuetkę Oscara do Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Obywatel Wajda

Wielu polskich artystów działających w epoce komunizmu ugięło się pod naporem propagandy oraz presji służb bezpieczeństwa, niewielu się im przeciwstawiło. Andrzejowi Wajdzie, jak każdemu wybitnemu człowiekowi tamtych czasów, próbowano zarzucać współpracę z reżimem czy niewłaściwą postawę, ale nie znaleziono nigdy dowodów na kolaborowanie z komunistami. Wydaje się to niewiarygodne, bo przecież niemożliwe wydawało się osiągać takie sukcesy bez pomocy służb. A jednak jest to prawdą, co jeszcze bardziej podnosi wartość jego dorobku.



Filmy Andrzeja Wajdy czterokrotnie były nominowane do Oscara – to rekord wśród polskich filmowców. Honorową statuetkę otrzymał w 2000 r. **Fot. EPA-ELTA**

Wajda już od 1950 r. był na celowniku służb, początkowo UB/SB, potem także KGB. Był przez nie uważany za element niebezpieczny, antysocjalistyczny, stanowił zagrożenie ze względu na rezonans jego twórczości filmowej i kontakty z opozycją. Reżyser, a potem także jego ostatnia żona Krystyna Zachwatowicz, był inwigilowany. Bezpieka nadała kryptonim jego sprawie „Luminarz” i śledziła każdy krok artysty.

1191 stron akt komunistycznych służb specjalnych dokumentuje operacje przeciwko Andrzejowi Wajdzie, w które zaangażowanych było dziesięciu generałów i trzech ministrów spraw wewnętrznych (a także szef sowieckiego KGB), którzy opracowywali strategię działań i prowokacji wobec

Ogromny dorobek Andrzeja Wajdy nacechowany był rozpoznawalnym stylem, tematycznie najczęściej ukazywał zmagania jednostki z dwoma totalitaryzmami XX w.: komunizmem i nazizmem.

reżysera! Pracowało nad nim 30 oficerów i 22 donosiciele. Przez blisko 40 lat nie ugiął się – owszem, wiele razy jego projekty lądowały na półkach, ale czasami wracały (scenariusz „Człowieka z marmuru” był gotowy już w 1963 r., ale dopiero w 1976 r. został dopuszczony do realizacji). Jak to się udawało?

Wajda miał nie tylko charakter w genach, ale do tego był dyplomatą i dobrym negocjatorem, potrafił rozmawiać z władzą w sposób, który nie tworzył uszczerbku na jego wizerunku. Niewątpliwie pomagała mu międzynarodowa recepcja jego twórczości. Reżim nie mógł sobie pozwolić na szykanowanie najwybitniejszego filmowca, a przecież film, jak powiedział Lenin, to najważniejsza ze sztuk.

Długa jest lista zasług społecznych i politycznych Andrzeja Wajdy, szczególnie po 1976 r., gdy bardziej się ośmielił w swych deklaracjach i czynach. Wspierał ruch „Solidarność”, był senatorem w pierwszym, niezależnym Senacie (1989–1991). Nagrodę Kioto (w wysokości 340 tys. dolarów) przeznaczył na sfinansowanie Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej „Manggha” w Krakowie (1994).

Wspierał wiele ważnych inwestycji oraz idei (m.in. Europejskie Centrum Solidarności, Muzeum II Wojny Światowej i Pomnik Poległych Stoczniovców 1970 w Gdańsku), aktywnie działał na rzecz środowiska filmowego, nie tylko w Stowarzyszeniu Filmowców Polskich. W 2002 r. założył Szkołę Wajdy, niepubliczną szkołę artystyczną, której absolwentami jest wielu czołowych dzisiaj filmowców.

Godny patron

Zasługi i sukcesy Andrzeja Wajdy dla Polski i naszej kultury można wymienić jeszcze długo. Jego filmografia liczy 66 pozycji, w tym blisko 40 pełnometrażowych, kinowych filmów fabularnych. Laureat najważniejszych nagród w Polsce i na świecie, honorowany najwyższymi tytułami, pozostawił po sobie gigantyczną spuściznę, która jest niemożliwa do uzyskania w dzisiejszych realiach nie tylko ekonomicznych. Życie i twórczość Andrzeja Wajdy predestynują go wybitnie do bycia patronem nie tylko roku, ale dziesięcioleci. ■



Wystawa czasowa ze zbiorów Muzeum Etnograficznego w Toruniu

Wiosenne i wielkanocne zwyczaje w Polsce

Pałac Balinских w Jaszunach

06.03.2026 – 19.04.2026

Otwarcie wystawy 06.03.2026, godz. 12.00

Koncepcja wystawy: Magdalena Ziółkowska-Mówka

Autorki tekstów: Hanna M. Lopatyńska, Magdalena Ziółkowska-Mówka